

Mamo kup ten numer Kamienia!

Tu są wiersze dla nas.



DWUTYGODNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY

Rok założenia 1933

Kamienia

NR 12 (805)

3 - 16 czerwca 1984

CENA 10 ZŁ

Alternatywa uczonych

Zapytajcie Macieja

Henryk Pająk

NALEŻY tylko pogratulować dr. hab. Leonowi Podkaminerowi z Instytutu Nauk Ekonomicznych znakomitego samopoczucia, trwającego permanentnie od dłuższego czasu, na przekór faktom i liezbom, tak martwiącym innych specjalistów rolnictwa. Od kilku już lat broni bowiem samotnie (na szczęście) swojej tezy, streszczającej się ni mniej ni więcej w tym, iż wszelkich niedomagań polskiego rolnictwa należy dopatrywać się wyłącznie w nadmiernych dochodach rolników, w przesadnie wysokich cenach skupu. W rezultacie takiej właśnie relacji cen, kosztów i dochodów — jak stwierdza Podkaminer w kolejnej wypowiedzi („Polityka” nr 17 z br.) — „wiesz ma się dobrze jak nigdy przedtem. Wiesz nie ponosi, jak dotychczas, żadnego ciężaru kryzysu”.

„I pan w to wierzy?!” — wykrzyk-

nął z oburzeniem prof. dr hab. Zdzisław Grochowski z Instytutu Ekonomiki Rolnej. Dramatyczne to pytanie postawił na tej samej stronie „Polityki”, tuż pod wywiadem dr. Podkaminera udzielonym Andrzejowi Mozolowskiemu, w rok po tym, jak podobny okrzyk sprzeciwu w tym samym tygodniku wydał prof. Woś, w sposób identyczny, jak obecnie prof. Grochowski, zaszokowany znakomitym samopoczuciem dr. Podkaminera. W tym momencie należy pogratulować dziennikarzowi „Polityki” jego talentu ironisty. Oto rzadko się zdarza w praktyce dziennikarskiej, aby udało się zderzyć ze sobą dwóch luminarzy nauki o sądach tak sprzecznych, tak się wzajemnie wykluczających. Sztuki tej dokonuje Mozolowski za pomocą dość prostego zabiegu. Po wywiadzie z dr.

Dokończenie na str. 8—9



Dzieci, bawcie się ładniej!

Rys. Zygmunt Pytlík

Ojczyzna Kochanowskiego

Adam Andrzej Witusik

ROZPOŚCIERAJĄCY się potężny, okrągławy kształt, sięgający do Bałtyku na północy aż po Morze Czarne na południu, na wschodzie zaś niemal po Smoleńsk obejmując swym zasięgiem liczne ziemie ruskie: połocką, witebską, mścisławską, homelską, kijowską — to państwo polsko-litewskie doby Jana Kochanowskiego, rozsiadłe na dorzeczu czterech wielkich rzek: Wjasy, Niemna, Dniepru i Dniestru.

W r. 1569, a więc pod koniec rządów króla Zygmunta Augusta, gdy Jan Kochanowski liczył sobie 39 lat, dokonał się fakt niezmiernie ważny dla

dziejów Rzeczypospolitej. Była nim unia lubelska — akt prawno-polityczny, opierający na nowych podstawach już blisko dwuwiekowy związek Korony Królestwa Polskiego z Wielkim Księstwem Litewskim. Unia lubelska przewidywała posiadanie wspólnego, razem wybieranego władcy, wspólny sejm i monetę tej samej wartości (choć wybijaną oddzielnie na Litwie i w Koronie). Oba kraje miały prowadzić wspólną politykę zagraniczną i wojskową, jakkolwiek pozostały odrębne dla Litwy urzędy, włącznie z najwyższymi odrębnymi wojsko, skarb i sądownictwo. Zniesiono istniejące dotąd ograniczenia w zakresie nabywania własności ziem-

skiej przez szlachtę z Korony na Litwie, a przez szlachtę litewską w Koronie. Szlachta polska i litewska mogła teraz na terenie obu krajów swobodnie nabywać dobra i osiedlać się. W ten sposób z Polski, Litwy i opanowanych przez nie ziem ruskich stworzono wielonarodowościową i wielowyznaniową Rzeczpospolitą.

W wyniku unii lubelskiej powstał stosunkowo jednolity organizm państwowy, rozległością swoją w Europie ustępując tylko Rosji, Polska i Litwa, wliczając sporne terytoria Inflant, obejmowały powyżej 800 tys. km². Zamieszkiwała je pokaźna, jak na XVI wiek, liczba mieszkańców, wynosząca zapewne powyżej 8 mln. Aby te liczby przemówiły do naszej wyobraźni inaczej, zauważmy, że to mniej niż jedna czwarta zaludnienia Polski dzisiejszej przy prawie trzykrotnie większym obszarze.

Dokończenie na str. 4—5

z notatnika

23 V. Nagadałem się ostatnio sporo. Najpierw cztery zebrania przedwyborcze w woj. lubelskim, potem — z okazji Dni Kultury, Oświaty etc. — spotkania autorskie: siedem w woj. krośnieńskim i trzynaście w woj. zamojskim, wszystkie organizowane przez TWP. W Iwoniczu trafiłem na piękną, słoneczną pogodę. Ponieważ poprzednio wiało chłodem, musiało to wpłynąć na frekwencję. Nie przepadam za spotkaniami w sanatoriach czy domach wypoczynkowych, bo towarzysstwo tu różne i trzeba czasu, aby się zorientować zarówno w poziomie odbiorców jak i, choć częściowo, poznać ich poglądy na sprawy dnia dzisiejszego.

Na Zamojszczyźnie głównie rozmawiałem z młodzieżą, zarówno z tą starszą, jak i młodszą, wśród której z satysfakcją spotykałem czytelników mej powieści „Drewniane szable”. Odwiedziłem szkoły w takich miejscowościach jak: Krzak, Staw Noakowski, Szczepieszyn, Grabowiec, Trzeszczany, Boczów, Turubin i Wysokie. W Szczepieszynie, Grabowcu i w Wysokim (Wysokich?) zajrzałem do księgarni, wspiłem w nich ok. trzech tysięcy tytułów, trafiając nawet na słynne „Kłopotliwy Nienackiego, które na bazarze idą ponoć po dwa-trzy tysiące zł (!). Bez żadnego trudu, bez żadnej protekcji zakupiłem pozycje takich autorów jak: Bratny, Redliński, Paderewski, a w GS-ie w Trzeszczanach przednie wino bułgarskie i herbatę, wprawdzie gruzińską, ale bądź co bądź herbatę.

Słowem czas spędziłem i przyjemnie i pożytecznie, choć — uczciwie mówiąc — na te podróże wykorzystałem siedem dni urlopu. Mam w tym względzie takie zaległości, że aż hej!

W Zamościu poznałem Mariana Redlińskiego, który również spotykał się z czytelnikami. Pogawędziliśmy co nieco.

Znakomitym organizatorem jest Marek Zbikowski, sekretarz TWP w Zamościu. Inni sekretarze (TWP oczywiście) mogliby się wiele od niego nauczyć!

25 V. Zarząd Główny Stowarzyszenia Dziennikarzy Polskich zebrał się dziś w Lublinie na plenarnym posiedzeniu. Okazją ku temu stało się zbliżające się 40-lecie Polski Ludowej.

Jednocześnie odbywał się w Lublinie zjazd ginekologów (jaki tam zjazd! i Międzynarodowe Sympozjum Ginekologii Operacyjnej). Dziennikarze i ginekolodzy na ogół niewiele mają z sobą wspólnego, choć przedstawiciele obu tych zawodów czynnie uczestniczą przy pogodach: pierwszy — przy pogodach gazet i czasopiśmie... Niemniej w hotelu nie z gumy, toteż miałem możliwość obserwować, jak wczoraj grupa dziennikarzy, którzy przyjechali w przeddzień plenum, nerwowo oczekiwali w hallu na jakiegokolwiek zakwaterowanie, a red. J. Kuźnicki, lubelski prezes, biegał od telefonu do telefonu. (Prezesa ma i strony ujemne...). Ostatecznie nikt jednak nie spał pod mostem nad Bystrzycą, choć niektórzy gawędzili do rana zaprzyjaźniając się ze światem medycznym wspomnianą wyżej specjalności. Jest nadzieja, że tematyka naszych środków masowego przekazu ulegnie wzbogaceniu.

Plenum, jak plenum: referaty, dyskusje, nagrody, odznaczenia... O jego przebiegu szczegółowo poinformuje prasa codzienna. Niemniej muszę podkreślić, że niebanalne przemówienie wygłosił prezes ZG SDPRL Klemens Krzyżagórski, czemu się nie dziwię, bo co klasa, to klasa.

Na plenum wręczono, jak rzekłem, nagrody. Doroczną — im. Bolesława Prusa otrzymali: (pierwszą) — red. Józef Barecki, naczelny „Rzeczpospolitej”, (drugą) — red. Olgierd Jędrzejczyk z „Gazety Krakowskiej”, (trzecią) — red. Krystyna Zielińska-Zarzycka z Polskiego Radia w Warszawie. Natomiast laureatem niedawno ustanowionej nagrody im. Ksawerego Pruszyńskiego (za wybitne osiągnięcia w dziedzinie reportażu) został Edmund Żurek, zastępca redaktora naczelnego „Przeglądu Tygodniowego”.

Zarząd lubelskiego oddziału SDPRL wykorzystał też plenum do wręczenia Nagród Młodych. Otrzymał je red. Witold Graboś z „Tygodnika Chelmskiego” i (wyróżnienie) — red. Andrzej Jasiński ze „Sztandaru Ludu”. Splendor splaya i na „Kurier Lubelski”, bo red. A. Jasiński tam niegdyś startował.

W imieniu nagrodzonych podziękował red. Józef Barecki, który m.in. stwierdził, że 40-lecie Polski Ludowej stanowi też okazję do dokonania przez każdego z nas osobistego dziennikarskiego bilansu, sprecyzowania, ile się ma, a ile jest się winnym.

Pomyślałem o moim bilansie. Dziewięć i pół roku w „Sztandarze Ludu”, niekiedy praca przez pełne siedem dni w tygodniu bez dnia odpoczynku (gazeta wychodziła i w niedzielę), bez zapłaty za godziny nocne i za nadgodziny. Co wy, młodzi, o tym wiecie? A czy któryś z was uczestniczył w zebraniu POP, które trwało od czwartej po południu do północy? Czy słuchał pełnych i patriotyzmu i internacjonalizmu wystąpień Sary Nomborg i zdawał u niej egzamin z... historii Polski? Dzielną wykładownicę wylądowała ostatecznie w Izraelu. Dawny pracownik „Sztandaru”, dziś taksówkarz, p. Mieczysław Drodz, wioził ją „taryfą” do Warszawy, skąd właśnie udawała się na Bliski Wschód. Opowiadał mi kiedyś, że miał ochotę stanąć i wysadzić ją w szczyrim polu. Tak pyskowała na wszystko!

Później siedem lat w „Głosie Szczecińskim” u Józia, dzisiejszego laureata, który potrafił dobrze dawać w kość, choć można się było u niego sporo nauczyć. Przed wszystkim — pilnowania gazety. Aż do samego porodu. Temat — rzeka.

I wreszcie dziewięć lat i pięć miesięcy w „Kamieniu”, która, gdy przychodziłem, miała te dwa i pół tysiąca egzemplarzy nakładu. Trzeba było tworzyć i zespół i zyskiwać nowych czytelników. Początkowo szło to jak po grudzie... Temat już nie rzeka, ale ocean.

Przeżywało się wzloty, upadki, załamania. Doświadczenia uczyły i łagodzenia były coraz bardziej miękkie. Chwalili, odznacжали, ale i ochrzaniali. Ochrzaniali za zwykle duperele, a żal, że poważni ludzie zajmowali się takimi blahostkami. Widocznie wolnego czasu mieli zbyt wiele. Do nikogo urazy nie żywię, choć nie lubię pękaków. Zwłaszcza takich, którzy szybko umieją przesiąść się z jednego konia na drugi, zapominając, że na tym pierwszym całkiem nieźle im się kiedyś kłusowało. Oni zapomnieli, ja nie, bo już wiem, że pętał zawsze pozostanie pętakiem, nawet gdy całkiem wytyścieje.

Wracam jednak na salę obrad. Wczoraj odbyła się konferencja prasowa z udziałem przedstawicieli władz administracyjnych czterech województw naszego regionu. Najciekawiej mówił Marian Wysocki, wojewoda zamojski, a najdłużej — Tadeusz Wilk, wojewoda lubelski. Marian Wysocki mówił również najdowiedniej, czym zyskał sobie szczególną sympatię zebranych.

Może niektóre poruszone problemy zainteresują dziennikarzy szerzej i staną się zaczynem dalszych penetracji? Wojewoda Wysocki zauważył, że już w prasie wykonano normę pisania o woj. zamojskim na nie, teraz przydałyby się teksty na tak. Coś w tym jest.

Takie dziennikarskie zgromadzenie pozwala zobaczyć dawnych kolegów, z którymi nie rozmawiało się przez ćwierćwiecze nawet! Oto Marian P., który skorzystał z przyspieszonej emerytury. W 1949 r. byliśmy razem w szkółce (to się nazywało wówczas Centralna Szkoła itd.) dziennikarskiej. Dziś Marian, o rok ode mnie starszy, jest już na przyspieszonej emeryturze, ale pisuje nadal. Emeryturę ma, owszem, owszem, ale mu nie zardroszczę. Przeżył osobistą tragedię. Syn pozostał na Zachodzie, później wyjechał do Australii i tam umarł w 1982 z. Sprowadzenie zwłok do Polski kosztuje ok. tysiąca dolarów. Mariana na to nie stać — jego syn będzie miał w Polsce grób symboliczny.

A oto Tadek F., również absolwent tej szkółki. Tadek ma już lat prawie sześćdziesiąt, ale o emeryturze jeszcze nie myśli. Kieruje działem ekonomicznym w jednym z dzienników. Teraz dostał Krzyż Oficerski...

Naszą szkółkę ukończyliśmy przed 35 laty. Może warto zrobić — rzucam myśl — zjazd absolwentów? Z naszego grona wyszedł wicepremier (obecny), kilku redaktorów naczelnych, kilku wybitnych publicystów, reportażyistów, literatów... Czas leci, niektórych spośród kolegów już nigdy nie ujrzymy na tym padole, o chociażby, Wacka Czyczysa... Czy warto ryzykować i czekać na 40-lecie? O 50-leciu już nie wspomnę...

U kilku obecnych na sali publicystów zamówiłem teksty do „Kamienia”, trudno przewidzieć, czy skończy się tylko na obietnicach...

Z okazji plenum oddział w Lublinie SDPRL wydał broszurkę pt. „Prasa lubelska 1944—1984”. Chciałoby się zawołać: autor, autor! Szkoda papieru, by recenzować ów „prasowy zapis 40-lecia”. Ale ktoś z zarządu oddziału SDPRL musiał to chyba akceptować do druku?! (Czy aż tak ekscytowały problemy motoryzacyjne?)

26 V. Red. F. Piątkowski upomina się na lamach „Sztandaru Ludu” o miejsce w lubelskiej kulturze dla Ośrodka Praktyk Teatralnych z Gardzienic, dla Sceny Plastycznej KUL, Teatru Wizji i Ruchu oraz Teatru „Provisorium”. Upomina się słusznie, stworzając jednak przy okazji, jako były dyrektor (kierownik?) Wydziału Kultury i Sztuki UW („nie w Lublinie, na szczęście”) obecnego dyrektora tegoż wydziału, ale już — zapewne na nieszczęście — w Lublinie, który obiecał, że za dwa ostatnie felietony zrobi mu (czyli red. F. Piątkowskiemu) krzywdę. Nie jestem ekspertem w dziedzinie krzywdologii, zresztą lubelski dyrektor nie ulomek, więc spór obu panów pomiję, niemniej pragnąłbym zwrócić uwagę red. F. Piątkowskiemu, że skoro pisze list otwarty do „Szalonego Pana Dyrektora” wypadałoby przy słowie „Pan” zawsze używać dużej litery. Ale to właściwie dygresja.

Umiem czytać i aluzję pojmuję. W tymże felietonie red. F. Piątkowski pisze, że „dziennikarze lubelscy [...] powinni rozpoznawać wartości uprawiane i uzyskiwane w wymienionych teatrach, a rezultaty tych rozpoznaw komunikować społeczności regionu i, oby, publiczności w kraju. Dokonywać wpisów w świadomości, a nie oczekiwać całymi latami (podkreślenie moje) aż zrobi to W. Pawluczuk, Z. Osiański, G. Dziamski, A. Matynia itd. Na lamach „Dialogu”, „Teatru”, „Tu i Teraz” itd., ale nie na lamach „Kamienia”, „Kuriera”, „Sztandaru” itp. [...] I za to pan, panie dyrektorze, nie ponosi odpowiedzialności, lecz te krasnoludki, którym wydaje się, że najlepiej jest im w bajkach o córce Mazurów z Mazur [...], o dewizowych sierotkach [...], a także o ludowych legendach o śpiących rycerzach z KS Motor i w krzyżówkach, które kształcą myśl i wyobraźnię w pionie i w poziomie oraz podnoszą ogólny poziom (i pion!) kultury naszego społeczeństwa. Podobnie zresztą jak piosenki młodzieżowe oraz tym podobne obszary fascynacji krasnoludków...”

Red. F. Piątkowski stosunkowo niedawno powrócił z białostockiej oazy kulturalnej. I dlatego wolno mu było nie zauważyć, że „Kamień” również należała do pism, które rozpoznawały „wartości uprawiane i uzyskiwane w wymienionych teatrach” (co za finezyjny styl). Wystarczy zresztą zajrzeć do zsywek. W numerze „Kamienia” przygotowywanej w wersji niemieckiej dla Wiednia „rezultaty tych rozpoznaw” z a k o m u n i k o w a l i ś m y nie tylko społeczności regionu, kraju, ale i zagranicy. Sądzę, że podobnie czynił dla regionu — w miarę swych możliwości — i „Kurier” i „Sztandar”. (Jeszcze bez red. F. Piątkowskiego...)

Zapewne i w „Kamieniu” należało i należy w większym zakresie „dokonywać wpisów w świadomości”, ale śmierć Marii Bechcyc-Rudnickiej spowodowała lukę, którą dopiero ostatnio udaje nam się zapelnąć. Zaden jednak młody krytyk teatralny już nie napisze: „Po raz pierwszy oglądałem(em) tę sztukę w Petersburgu. Był rok 1903...” Czapki z głów!

W tym miejscu muszę jednak otwarcie powiedzieć, że nie recenzje lea-

tralne, książkowe etc., choćby genialne, decydują o poczytności pisma! (Jaki nakład ma ogólnopolski „Teatr”, „Dialog”? Konieczności wydawania tych pism, oczywiście, nie neguję!)

Co się zaś tyczy bajek o córce Mazurów (przeczytało się, co?), o dewizowych sierotkach (przeczytało się, co?), o ludowych legendach o śpiących rycerzach z KS Motor (przeczytało się, co?), a także piosenek młodzieżowych (chyba ściślej — prezentacji zespołów) to — możemy nad tym wspólnie ubolewać, prawda — teksty owe mają gorących zwolenników. Czytelnik — przy lekturze — też pragnie niekiedy odпочać i uśmiechnąć się...

Kto jak kto, ale red. F. Piątkowski powinien o tym dobrze wiedzieć! W „Kontrastach”, piśmie, w którym niegdyś pracował, można było przeczytać „Pamiętnik księgowej” (przepisany [?] przez E. Redlińskiego). Pod datą 22 października 1966 r. widniało czarno na białym: „Sobota. Był o 17.30 kupił 1/4 angielskiej gorzkiej. Na kolację gołąbki, grzybki i wino. U mnie był do 21. Pojechaliśmy do niego, zrobił wannę, wykapałiśmy się razem, było rozkosznie, potem zaniósł mnie na tapeczan — pieścił, całowaliśmy się po francusku wzajemnie. Potem usnęliśmy do 2 w nocy. O 2 jeszcze raz zrobiliśmy dobrze i poszliśmy do domu...”

Tyle na ten temat. A red. F. Piątkowski nie po raz pierwszy zapraszam do współpracy z „Kamienią”. Każdy, a więc i jego, wpis w świadomości powitam z entuzjazmem, bo w gruncie rzeczy, jak sądzę, o jedno nam chodzi, a różnicę możemy tylko w szczegółach i mniejszą lub większą znajomością tzw. uwarunkowań. Czytelnicy, kolportażowi, kadrowych, finansowych. A może i politycznych? Słowem — samo życie.

Tak — cum grano salis — powiada krasnoludek do wielkoluda.

Wracam jeszcze do ginekologów. Opowiadał mi W., że bufet w kuliarach szacownego gmachu, w którym obradowali lekarze, zorganizowała orbisowska Unia. W bufecie serwowano kawę po 120 zł za szklankę, pepsi-colę po 90 zł za butelkę, a także różnej maści koniaki, likiery, wina i szampany. W. cen już nie notował...

U dziennikarzy specjalnego bufetu nie było, spragnieni korzystali ze skromnej kawiarni NOT-owskiej.

Według stawu grobla.

27 V. Kabaret „Czart” świętuje (bez powołania z tej okazji Honorowego Komitetu Obchodów) ćwierćwiecze swego istnienia. Tytus Wilski napisał w związku z tym świetny tekst wspominkowy. Chętnie bym ten tekst przedrukował (ukazał się na powielaczu), ale obawiam się, że uprzedzi mnie ktoś z lubelskich dzienników. W tym miejscu przypomnę jednak, że niedawno sporo pisał o „Czarcie” na lamach „Kamienia” Mirosław Derecki.

„Czart” zaprzecza powszechnej opinii, że my tu, w Lublinie, mamy słomiany zapal. Cwierć wieku to, było nie było, trzysta miesięcy, 9156 dni (lub nocy)... Ile w tym czasie może się wydarzyć!

Życzyć kabaretowi sto lat? To dia-bło mało!

Kazimierz Pawelek otrzymał na plenum SDPRL złotą odznakę Zasłużonego dla miasta Lublina. Nie wiem, czy za teksty dla „Czarta” czy za felietony dla „Kuriera Lubelskiego”? Jeśli za to i za to trzeba by ustanowić złotą odznakę z filamentami!

A swoją drogą dziwne, jak pewne imię powtarza się wśród twórców „Czarta”! Kazimierz Grześkowiak, Kazimierz Lojan, Kazimierz Pawelek...

I wszyscy zapewne lubią Kazimiera. Nad Wisłą! Prawie dwadzieścia lat temu prowadziłem w tymże Kazimierzu długą rozmowę z Tytusem Wilskim. Czy pamiętasz?

Kończąc, bo zaczynam się rozkładać, a to nie w moim stylu.

M. A. Jaworski

SPROSTOWANIE

Wartykuł Mieczysława Wieliczko pt. „Monte Casino w kręgu prawdy i legendy” (Kamień nr 11) wkładł się błąd — oczywiście chodzi o odznakę z Warszawskiej Dywizji Pancerniej, a nie Piechoty. Autora i Czytelników przepraszamy. Redakcja

„O VERLORD” to kryptonim operacji desantowej, która w historii dyplomatycznej i militarnej II wojny utożsamiana jest z pojęciem drugiego frontu. Co do użytych środków technicznych i mas żołnierskich w łączonych działaniach flot morskich, lotniczych, wojsk powietrzno-desantowych i wojsk lądowych, była to operacja na nie znaną w dziejach skalę. Ale zanim nastąpiło lądowanie na plażach Normandii, kwestia drugiego frontu stanowiła jedno z naczelnych przedsięwzięć dyplomatycznych państw koalicji.

Najazd Niemiec i ich sojuszników na ZSRR 22 czerwca 1941 roku nadał koalicji antyfaszystowskiej nowy wymiar. Churchill, zapowiadając współpracę Wielkiej Brytanii ze Związkiem Radzieckim, oświadczył: „Rosyjskie niebezpieczeństwo jest... naszym niebezpieczeństwem i niebezpieczeństwem Stanów Zjednoczonych tak, jak sprawa każdego Rosjanina walczącego o swe ognisko domowe i swój dom jest sprawą wolnych ludzi i wolnych ludów na całym świecie”. Na radziecką deklarację z 3 lipca, precyzująca cele wojny ojezycznej (usuniecie niebezpieczeństwa, jakie spowodowała agresja na ZSRR, udzielenie pomocy wszystkim narodom znajdującym się pod okupacją niemiecką i wspólne prowadzenie wojny), rząd brytyjski odpowiedział pismem (7 lipca) wyrażającym podziw dla bohaterstwa armii radzieckiej i stwierdzającym, że „tak mocna obrona” spotyka się z uznaniem społeczeństwa brytyjskiego. 24 czerwca prezydent Roosevelt złożył podobne w treści oświadczenie i zadeklarował gotowość udzielenia przez USA wszelkiej pomocy dla ZSRR.

W ślad za tym, 12 lipca zawarta została umowa brytyjsko-radziecka o wspólnej akcji w wojnie przeciw Niemcom, podpisana w Moskwie przez W. M. Mołotowa i S. Crippsa ambasadora w ZSRR. 2 sierpnia został przedłużony radziecko-amerykański układ handlowy z tej okazji ambasador K. A. Umański wymienił pismem z sekretarzem stanu S. Wellesem, który stwierdził „wzmocnienie zbrojnego oporu Związku Radzieckiego przeciwko grabieżczej napaści agresora, zagrażającej bezpieczeństwu i niepodległości nie tylko Związku Radzieckiego, ale również i innych narodów — odpowiada interesom państwowej obrony Stanów Zjednoczonych”.

Tak kształtowały się podstawy Wielkiej Koalicji, choć powołalem tu tylko oficjalne i techniczne oświadczenia i umowy. Niemniej współpraca z ZSRR, szczególnie w Stanach Zjednoczonych, miała wielu przeciwników i oponentów. W swoisty sposób „procentowały” i wieloletni antysowieci, i polityka izolacjonizmu. Głosy te nie znalazły zbyt wiele posłuchu, bowiem w kołach wojskowo-politycznych USA zdawano sobie sprawę z rozmiarów radzieckiego potencjału materialowego i ludzkiego, terytorialnej rozległości frontu wschodniego, a także z narastającego niebezpieczeństwa ze strony Japonii.

W tej atmosferze, po kilkudniowych obradach, prezydent Roosevelt i premier Churchill podpisali 14 sierpnia 1941 roku Kartę Atlantyczną, gdzie sprecyzowano cele wojny obydwu mocarstw. Warto wspomnieć, że Wielka Brytania, która znajdowała się w stanie wojny od blisko dwóch lat (od 3 września 1939 roku), dopiero teraz określiła swoje cele wojenne oraz stanowisko wobec zasad powojennego pokoju. Dlaczego rząd JK milczy, pytano wielokrotnie w Izbie Gmin, nawet na trzy dni przed podpisaniem Karty Atlantycznej? Odpowiedź była zawsze jednaka: „Rząd ogłosił cele wojny we właściwym czasie”. Dla kontrastu wspomnijmy, że rząd RP cele wojenne zaatakowanej Polski sformułował już 2 września 1939 roku, a kwestię przyszłych granic powojennych 28 listopada, zaś w sprawie ustroju społeczno-politycznego ogłosił deklarację 18 grudnia 1939 roku.

Pominąć wypada istniejący w pamiętnikarstwie dyplomatycznym spór o autorstwo treści w Karcie Atlantycznej, jak również to, że jej ogłoszenie nastąpiło w zmienionej sytuacji wojennej, natomiast zauważyć trzeba niewątpliwą rolę oświadczenia radzieckiego, które uwzględniało nie tylko przyszłość swego kraju, ale losy wszystkich narodów biorących udział w wojnie z hitleryzmem. To stanowisko ZSRR było przestanką współdziałania „Wielkiej Trójki”.

Międzysojusznica konferencja w Londynie 24 września 1941 roku i złożona tu deklaracja, precyzująca stosunek ZSRR do zasad Karty Atlantycznej, rozpoczynają współpracę wielkich mocarstw nie tylko w aktualnych sprawach wojny, ale i w rozwiązaniu problemów powojennego świata. Tu rozpoczynała się droga uzgodnienia różnych stanowisk i rokowań dla uzyskania wspólnych decyzji (przy uwzględnieniu „historycznych odrębności”, jak głosiła deklaracja radziecka) w interesie powojennego świata. Jedną z tych „wspólnych decyzji” było określenie sposobu zniszczenia tyranii faszystowskiej, sformułowanie walki o wolność, o niepodległość narodów.

Konsekwencją tak sprecyzowanej współpracy politycznej i wojskowej było udzielenie ZSRR pomocy materialowej w ramach amerykańskiego programu „Lend-Lease”, co zostało określone porozumieniem z 1 października 1941 roku. Dostawy, łącznej wartości 11 mld dolarów, dostarczane były drogą morską przez Murmańsk - Archangielsk i lądową przez Afganistan i Iran, głównie w latach 1942-1943, i objęły około 11 tys. czołgów, silniki samolotowe, okręty, samochody, armaty, surowce, paliwo, żywność, obuwie (8 mln par) i wyposażenie techniczne dla przemysłu zbrojennego. Według szacunków radzieckich, dostawy te realizowały około 35 proc. rocznych zamówień i stanowiły porównawczo 4 proc. globalnej produkcji w wojnie narodowo-wyzwoleńczej Związku Radzieckiego.

Warto w tym miejscu wspomnieć, że Armia Czerwona, zdolna w warunkach zimowych przejść do zwycięskiej kontrofensywy pod Moskwą 5-6 grud-

W Normandii 40 lat temu (1)

Przed dniem „D”

Mieczysław Wieliczko

nia 1941 roku oraz ustabilizować i utrzymać ogromny front do wiosny 1942 roku. Nastąpiło to w czasie japońskiego ataku na Pearl Harbor (7 grudnia), a następnie błyskotliwych sukcesów i podbojów Japończyków na Dalekim Wschodzie, co wobec utraty znaczących pozycji i zagrożenia żywotnych interesów aliantów, zdecydowanie wpłynęło na ich stosunek do radzieckiego sojusznika. Dodajmy, że zbiegło się to w czasie z ogłoszeniem 1 stycznia 1942 roku deklaracji Narodów Zjednoczonych przez rządy 26 państw, które zobowiązały się przede wszystkim „do użycia pełni swych zasobów wojskowych i gospodarczych przeciwko tym uczestnikom paktu trójstronnego [paktu „Osi” — M.W.] i ich wspólnikom, z którymi rząd ten pozostaje na stopie wojennej”. Deklaracja ta udzielała pełnego poparcia koncepcji koalicji, a przez stwierdzenie, że „każdy rząd zobowiązuje się współdziałać z rządami podpisanymi na niniejszej deklaracji”, określała zasady organizacji wysiłku wojennego i współpracy. Logiczną konsekwencją tych ustaleń i zobowiązań powinno być wzmocnienie wysiłku wojennego aliantów, utworzenie frontu na kontynencie Europy, zwłaszcza, że około 75 proc. sił i środków wojennych Niemiec i ich sojuszników wiązał front wschodni. Walki na tym froncie obserwowane były z zycziwą uwagą przez polityków zachodnich, a nieraz z entuzjazmem społeczeństw (np. na Wyspach Brytyjskich).

Sprzyjały temu żywe stosunki radziecko-brytyjskie, czego wyrazem była wizyta Edena w Moskwie (tuż po wizycie gen. Sikorskiego), a następnie Mołotowa w Londynie. „Niezależnie od sprawy traktatu — pisze w pamiętnikach Churchill — Mołotow przyjechał do Londynu, by poznać nasze poglądy w sprawie utworzenia drugiego frontu”. Obok innych problemów współpracy, ta sprawa była naczelną, ale brytyjscy rozmówcy dość stanowczo wykazali ogrom trudności i przeszkód w sprawie utworzenia frontu. Nie mogą nie zestawić dwu fragmentów ówczesnych oświadczeń. Churchill stwierdza: „Cóż za tragedią dla ludzkości stanowiąby przedłużanie wojny i jak bardzo szczerą jest nadzieja na rosyjskie zwycięstwo, jak mocne jest pragnienie, by wykonać należyty nam udział w zwalczaniu śmiertelnego wroga”. Eden przy podpisywaniu traktatu (26 maja 1942 roku) „o przemyśle w wojnie przeciw hitlerowskiemu Niemcom i ich sprzymierzeńcom w Europie i o współpracy i wzajemnej pomocy po wojnie” mówi do Mołotowa: „Traktat, który właśnie podpisaliśmy, zobowiązuje nas do wspólnej walki, zanim zwycięstwo nie zostanie osiągnięte. W imieniu moich kolegów daję panu obietnicę, że w tych dążeniach nie będzie wahań ani ze strony rządu, ani ze strony ludności tych wysp [...]. Nigdy przedtem w historii naszych krajów współpraca nasza nie była tak bliska, nasze wzajemne zobowiązania co do przyszłości tak kompletne...” I nie do tego nie można już dodać, poza stwierdzeniem, że Związek Radziecki był żywotnie zainteresowany tymi „pragnieniami” i „wspólną walką” brytyjskich aliantów, bowiem w tym czasie 186 dywizji piechoty, 20 pancernych, 16 zmotoryzowanych, 5 kawalerii Wehrmachtu i sojuszników, nie licząc Luftwaffe i flot morskich na Bałtyku i Morzu Czarnym, gotowało się do letniej ofensywy na kierunek Stalingradu-Kaukazu i ścisła blokada Leningradu.

Mołotow polecał do Waszyngtonu, gdzie realistycznie oceniano układ sił. „Z punktu widzenia obrony i ofensywnej strategii, front rosyjski — pisał Joseph Davies (ambasador USA w Moskwie w l. 1936-1938) i czerwca 1942 roku — przeciw Niemcom musi być utrzymany za wszelką cenę. Defensywnie Rosja stanowi potężne przedmurze między Niemcami i Japonią. Jak długo Rosjanie walczą z Niemcami, Japończycy i Niemcy nie mogą połączyć swych sił. [...] Fakt, że Niemcy skoncentrowali na froncie rosyjskim więcej wojska niż na wszystkich frontach razem wziętych i że obecnie trzy miliony ludzi walczą z Armią Czerwoną, stanowi najbardziej przekonujący dowód o znaczeniu frontu rosyjskiego. Jeżeli niemiecka ofensywa 1942 r. udałaby się, nie muszę mówić o przytłaczającym znaczeniu takiej katastrofy. Będzie to niewątpliwie oznaczało panowanie osi w Europie, Azji i Afryce”. Tekst ten powstał w czasie trwania rozmów Roosevelt - Mołotow. W ich stenogramie (30 maja) autorstwa S. H. Crossa (oficjalnego tłumacza rządu, profesora slawistyki z Harvardu) czytamy: „Prezydent postawił pytanie generałowi Marshallowi [doradca wojskowy

Roosevelta, szef komitetu połączonych szefów sztabów sił zbrojnych USA — M.W.], czy rozwój sytuacji jest wystarczająco jasny, byśmy mogli powiedzieć p. Stalinowi, że przygotowujemy drugi front. „Tak” odpowiedział generał. Prezydent upoważnił wtedy p. Mołotowa do poinformowania p. Stalina, że oczekujemy stworzenia drugiego frontu w tym roku”.

Mołotow w drodze powrotnej zatrzymał się w Londynie i kontynuował rozmowy z Churchilllem. Wobec stanowiska USA jego obiekcje zdawały się być przełamane. 11 czerwca 1942 roku na zakończenie wizyty Mołotowa wszystkie trzy rządy ogłosiły komunikat, w którym stwierdzono, że „uzyskano pełne porozumienie co do pilnego zadania stworzenia drugiego frontu w Europie”. Mołotow wracał do Moskwy z tekstem traktatu z Wielką Brytanią, umową amerykańsko-radziecką „o zasadach dotyczących wzajemnej pomocy w prowadzeniu wojny przeciw agresji” (tzw. traktat Hull-Litwinow, podpisany 11 czerwca 1942 roku) i nadzieją, że alianci rychło utworzą drugi front. Dziś wiemy, że Armię Czerwoną czekały samotne i krwawe zmagania o przejęcie inicjatywy strategicznej na froncie wschodnim, bowiem drugiego frontu nie utworzono w 1942, ani nawet w 1943 roku...

Dlaczego? Pominąć trzeba w odpowiedzi rozległe motywacje polityczne, kwestie planowania strategicznego i rozwój sytuacji wojennej i trzeba stwierdzić, że alianci, przyjmując konkretne, jak wynika z powołanych wyżej tekstów, zobowiązania, nie mieli ani stosownych środków materialno-technicznych i wojsk, ani doświadczenia strategiczno-operacyjnego. Wypadkową tej sytuacji było intensywne prowadzenie wojny na morzach, bombardowania obszaru III Rzeszy i wybranych celów na terenach przez nią zdominowanych oraz wykonanie operacji desantowych na drugorzędnych kierunkach operacyjnych w północnej Afryce i na Sycylii (8 listopad 1942 i 9 lipiec 1943 roku). Wszystkie te działania, o niewątpliwie wadze strategicznej, nie prowadziły wprost do realizacji głównego zadania — otwarcia drugiego frontu w Europie. Nadmienić trzeba, że co do jego kierunku oraz geograficznych punktów otwarcia operacji były pomiędzy aliantami duże różnice zdań. Jest to zbyt rozległa kwestia, by ją tu podejmować.

Nad ranem 19 sierpnia 1942 roku alianci podjęli rozpoznawanie walki niemieckiej obrony Wąwu Atlantycznego w rejonie Dieppe w północnej Francji. Wykonano desant morski wsparty przez 67 dywizjonów lotniczych (w tym 5 polskich dywizjonów myśliwskich). Na 198 barkach i łodziach desantowych przetrzucono przez kanał La Manche oddziały komandosów (1057 ludzi) i 2 bryg. piech. z pułkiem czołgów (4901 ludzi) osłanianych przez 3 okrętów — niszczycieli (w tym ORP „Słazak”) z zadaniem zniszczenia dwu baterii artylerii nadbrzeżnej i obiektów wojskowych w porcie i okolicy miasta. Desanty lądowały na plażach w pasie 20 km i mimo ostrzeliwania z okrętów, bombardowania i osłony lotniczej, zostały zmasakrowane przez Niemców. W ciągu niewiele ponad 4 godzin walk straty w ludziach wyniosły około 4 tys. (w tym z 5 tys. Kanadyjczyków poległo i było rannych 3372), zniszczono wszystkie czołgi wysadzone na brzeg, 106 samolotów, 1 niszczyciel (trzy inne były uszkodzone, w tym „Słazak”, który wprawdzie zestrzelił cztery samoloty Luftwaffe) i 33 barki desantowe. Straty były ogromne, wyniki żądne... tylko doświadczenia się liczyły, łącznie z ujawnieniem poważnych błędów w planowaniu operacji i jej dowodzeniu. Cała ta „okoliczność” została przez aliantów wykorzystana jako argument odłożenia terminu otwarcia drugiego frontu i ujawniła potrzebę starannego przygotowania operacji. Dodajmy, że operacja „Jubilee” pod Dieppe była jedynym praktycznym przedsięwzięciem aliantów w latach 1942-1943 w zakresie przyjętych zobowiązań otwarcia drugiego frontu na Zachodzie.

W tym świetle radziecka teza, że alianci zachodni liczyli na wykrwawienie się przeciwników na froncie wschodnim i ich wydatne osłabienie, w zestawieniu z umowami z czerwca 1942 roku, nie jest pozbawiona racjonalnych przesłanek i mocnej argumentacji. Widoczne to jest w korespondencji Stalina, Churchilla i Roosevelta.

cdn.

Nieco dłuższy dzień

— Dlaczego kluby międzynarodowej książki i pracy wciąż są takie popularne? Sprawa to powiew wielkiego słońca? — pytam Janinę Jarzynową, dyrektorkę Klubu MPiK przy ul. Leonarda w Lublinie.

— Z powiewem nie jest już najlepiej, ale nasze placówki atrakcyjności nie straciły. Domy kultury, zwłaszcza te małe, wegetują — my normalnie, zwyczajnie pracujemy.

— No, czasami chce się człowiekowi zatopić w miękkości klubu, z nosem w gazecie.

— Ale ostatecznie to samo mają już ludzie w domu.

— Jednak klub nie dom, zawsze można kogoś wymarzonego spotkać. Poza tym to atmosfera niezobowiązującego milczenia...

— Co innego powiedziałabym. U nas zawsze preferowało się profesjonalistów, ludzi odpowiedzialnych. Takich zapraszaliśmy i do takich igieli satelici. Powoli klub stawał się miejscem ludzi kompetentnych. Pod ręką była dobra informacja. W pełnym znaczeniu tego słowa, bo w czasach, gdy byłem w klubie przy Krakowskim Przedmieściu, zupełnie normalnie prenumerowaliśmy jeszcze prasę z całego świata.

— Atmosferę robiło wystawienictwo, sąsiedztwo księgarń, no i barek kawowy, a ziołszcza chyba bywały?

— Fakt, w sumie to stanowiło o naszym przebiegu. Zresztą klub był prawie na ulicy. Można było wejść, zobaczyć, kto jest — i wyjść. Były stoliki zajmowane ciągle przez te same osoby, w stałych porach.

— I są.
— Tak, przy Krakowskim wciąż tak jest, tu u nas inna specyfika. Przy Krakowskim klub powoli stał się salonem, miejscem, gdzie do dobrego tonu należało bywać.

— Salon bez kamerdynerów?
— Ale zawsze starałam się, żeby pracowały panie ładne i młode.

— Starsi panowie wciąż je wspominają. Była taka śliczna brunetka w barku...

— Irena? Róża!

— Z dużym wdziękiem parzyła kawę.

— Moje dziewczyny wiedziały, że do klubu ludzie przychodzą najwyżej na godzinę, uciekają od czegoś, przeważnie od osamotnienia. I widzą, tak jak ja widzę, że wykładzina podwinięta, afisz oberwany czy żarówka spalona. A one, dziewczyny, są przeciw gospodyniom, dzięki którym goście mogą czuć się dobrze. Teraz jest zwyczaj, że gdy ktoś ma rację — dochodzi swego. Moje dziewczyny jednak o tym zapomniały — przeczekiwały czyjeś zdenerwowanie i uśmiechały się. Bo tłumaczyłam im, że ludzie chcą być lubiani, i one zresztą rzeczywiście lubiły ludzi. Myślę, że kto ma duszę urzędnika, nie powinien pracować w placówce kulturalno-oświatowej. Wiele lat tkwiłam w czytelnicy na Krakowskim i ten czas dobrze wspominam. Teraz w dziewczynach nie ma tego ciepła, a może nawet żaru...

— Dlaczego?

— Nie wiem, dlaczego są bardziej rzeczowe, niechętnie? Takie pokolenie. Moim zdaniem, żeby zrobić atmosferę, którą chciałoby się oddychać, trzeba robić więcej niż wymagają obowiązki. Trzeba poza ramy wychodzić. Wylazić ze skorupy. Może banały mówię, ale jak Boga kocham, mam do tego prawo. To nieprawda, że dawałam w klubie możliwość wypoczynku — ci ludzie też mi coś dawali. Taka bida, w jednym ubraniu dziesięć lat chodził i polne kwiaty mi znosił, on mi kiedyś mówi, że ubierał pieniądze na wyjazd do Rzymu, ale że jest stary, to żeby się nie obraziła i nie złego nie myślała — on nie chciałby jechać sam, dla mnie też ubierał. Nie mogłam przyjąć tej propozycji, ale jak mnie ujął!

— W klubie przy Krakowskim bywali ludzie z przedwojenną wytwornością i delikatnością manier.

— A wie pani, że tak. Teraz mężczyźni już nie potrafili traktować kobiet, żeby przy nich czuły, jak się podobają. Taki był pan Fryt — we Lwowie rozstrzelano mu żonę i córkę. Tu, w Lublinie, żył, za jedyny luksus mając wspaniałe księgozbiór. Przegadywaliśmy długie godziny. Kiedyś zachorował, więc odwiedziłyśmy go z kwiatami. Żył na obiadach przynoszonych z „Polonii”, zobaczyłyśmy, jak niedźwie. Więc proste, że zaproponowałyśmy swoje konkurencyjne obiady domowe. Z jaką galanterią się bronił, do końca! To było na dwa tygodnie przed jego śmiercią.

— Albo pan Ziółkowski?

— Miał u nas lodówkę i punkt informacyjny. Wpadł, wstawiał mleko, zostawiał dla kogoś wiadomość... Widzieliśmy, jak przy naszych stolikach rozkwitały miłości, czasem aż do rozvodu... To wszystko też składało się na atmosferę klubu. Czasami ktoś do nas przychodził na imprezę, której nie ma, a jemu wydaje się, że powinna być. Wtedy dzwoniemy, dowiadujemy się, lokalizujemy imprezę. Zawsze starałam się, żeby w klubie było tak jak w sklepie kosmetycznym na rogu Krakowskiego i Przechodniej, gdzie pracował pan Madejczyk. Pan Madejczyk nie miał czegoś, ale zawsze doradził, co kupić innego.

— Wielką zaletą MPiK-u było mówienie szepceniem.

— A to mój wymysł. Do dookoła były pełne gwaru kawiarnie.

— Skoro z takim sentymentem mówimy o MPiK-u przy Krakowskim, czemu pani przeniosła się na Leonarda?

— Bo życie było już tam tak sprawdzone i wyregulowane, że mogłam tylko drzemać do emerytury. Tu nie istniały tradycje i może większe potrzeby — mogłam przekopywać się przez ugór.

— I co?
— Jako pierwsi i jedyni w Polsce zaczęliśmy ściągnać ludzi poprzez imprezy dla dzieci. Przygarnęłam pod dach wszystkie organizacje, które tylko działały w osiedlu. Poprzez samorząd mieszkańców zaczęłam poznawać sąsiadów z osiedla i skupiać ich zgodnie z zainteresowaniami. Teraz mówi się: Klub na Leonarda i wiadomo, co to jest.

— Właśnie, jak go określić, bo przecież jest to regularny Klub MPiK. Ale miejsce świetne, znowu przytulne, miękkie, no i z dużą życiową przestrzenią.

— Na wszystko trzeba zapracować. Na początku klub musiał sobie zdobyć klubowiczów. Prawdę mówiąc, trwa to do tej pory, to wypuszczanie macek poza obręb obiektu. Dlatego zużywamy energię na takie zajęcia, jak na przykład organizowanie niebanalnej akcji letniej, spotkań obco-krajowców studiujących w Lublinie, na które zjeżdżają się ich znajomi z całej Polski, systematycznych zebrań bibliofilskich. To są właściwie efekty. Przedtem trzeba było mieć pomysł, żeby pójść po rodziców do szkoły na wywiadówkę i zaprosić ich na spotkanie do klubu z psychologiem, albo zapraszać mieszkańców całymi blokami na imprezę



Fot. Waldemar Stępień

z serii „Jak dobrze mieć sąsiada”. Z początku zapraszałam na sławne nazwiska: Żelnik, Olbrychski, Perepeczek, Horawianka, Damięcy, Siemion... Nie były to spotkania za sławą, lecz popisy artystyczne. Można było przychodzić z dziećmi, byle nie przeszkadzały. Ale zanim do tego w ogóle doszło, zrobiliśmy niedzielny poranek dla dzieci (np. z odtwórcą roli króla Maciusia Pierwszego Juliuszem Wyżykowskim) i w drugiej sali spotkanie dla rodziców (z jego matką — Elżbietą Barszczewską, znaną z filmu „Znachor”).

— Okropna strategia.

— A jak inaczej? Klub albo powinien być potrzebny i jego istnienie w świadomości mieszkańców jest uzasadnione, albo już lepiej nie w ogóle nie robić.

— Może to i racja, że gdzie diabeł nie może, tam baba pośle. Bo kobieta zawsze wie, co trzeba do życia. Ta odrobina intelektualnego sukcesu razem z tradycyjnie prowadzonych klubów MPiK, tych zapoznanych jak przy Krakowskim Przedmieściu — jednak dala się już przeniesić do osiedla. Można powiedzieć, że pani to ma zdrowie!

— Właśnie nie. Dlatego od sierpnia idę na emeryturę. Chcę w pełnym pedzie wysiąść, skoro życie przeleciało mi na szybkich obrotach. Właśnie te trzydzieści lat w klubie były jednym nieco dłuższym dniem. I tylko ja nie mam już pięknych warkoczy... Ale póki co, jeszcze zapraszam na wystawę elementarzy z około czterdziestu państw i jeszcze wyhodujemy czerwone maki przy ul. Bohaterów Monte Cassino.

— Na koniec: co pani uważa za najważniejsze dla placówki, jeśli chciałaby być niezbędna w swoim otoczeniu?

— Otoczenie musi wiedzieć, że są w niej ludzie, którzy do każdego pomysłu potrafią doprawić skrzydła. Już mówiłam: ważna jest atmosfera, bo tylko przez nią działa się na wrażliwość otoczenia i po prostu skupia się je w naturalny sposób. No i ta odrobina niekonwencjonalnego myślenia, wybiegającego poza przepisowe stereotypy.

Rozmawiała: Anna Bocian

Ojczyzna Kochanowskiego

Dokończenie ze str. 1

Jedynie nieco ponad 20 proc. obszaru Rzeczypospolitej zajęte było przez ludność etnicznie polską, stanowiącą około 40 proc. całego zaludnienia. Drugie miejsce — ponad 20 proc. wszystkich mieszkańców — zajmowała ludność ruska: Białorusini, Ukraińcy i Rosjanie. W Rzeczypospolitej mieszkało ponadto kilkanaście procent Litwinów; powyżej 10 proc. Niemców (w tym około 6 proc. ludności przypadało na lenne pruskie i inflanckie), około 5 proc. Żydów. Na resztę składali się Ormianie, którym tu udało się opanować niemal w całości handel orientalny, Szkoci, Łotysze, Tatarzy i inne drobniejsze grupy etniczne. W skład państwa wchodziły też lenna: Prus Książęcych, Kurlandii, Łęborka, Bytowa i — przejściowo — Mołdawii. Zaludnienie Rzeczypospolitej było bardzo nierównomierne: obok krain bogatych, tętniących życiem, nasyconych wielkimi miastami, jak Prusy Królewskie, obok zamożnej Wielkopolski i Kujaw, obok ludnej Małopolski, gdzie żył i tworzył Kochanowski, rozpościerały się na wschodzie, na Litwie i na tzw. kresach (Podolu, Wołyniu, Ukrainie) duże obszary puszcz i pustek, gdzie dymy świadczące o istnieniu wsi lub miasta należały do rzadkości. Gdy w północnej Małopolsce i na Mazowszu liczyła ludność sięgała około 23 i 24 osób na km², to na kresach południowo-wschodnich państwa — tylko około 6 osób. Poza granicami Rzeczypospolitej, na Śląsku, mieszkało około miliona ludności polskiej.

Doprowadzając do unii realnej między Koroną i Litwą, nie zadbano w skuteczny sposób o odzyskanie ziem wchodzących w skład Polski piastowskiej. Najmocniej może przejmowano się jeszcze losami Śląska pod panowaniem Habsburgów. Wprawdzie zabieg księcia legnickiego Henryka XI z dynastii piastowskiej o uzyskanie następstwa tronu po królu Zygmuncie Auguste nie przyniosły rezultatu, ale szlachta snuła w tym czasie plany odzyskania Śląska — choćby przez ofiarowanie Domowi Habsburgów korony polskiej. Najlepszy wyraz tym nastrojom dał rówieśnik Kochanowskiego, kronikarz Maciej Strykowski, stwierdzając, że „przedtem z dawna Śląsko Polskiemu Królestwu należało, ale to nasi niedbale przespali”. Padły też słowa współczucia dla Ślązaków pozbawionych wolności oraz ojczystego języka, zwyczajów i urządzeń narodowych. Żadne jednak konkretne przedsięwzięcia nie poszły za tymi utyskiwaniami. Brakowało również żywszego zainteresowania Pomorzem Zachodnim, chociaż właśnie książęta pomorscy czynili pewne kroki o uzyskanie protekcji Polski.

Już w czasach Jana Kochanowskiego zwornikiem państwowości staropolskiej był sejm walny, który składał się z trzech „stanów sejmujących”: króla, senatu i izby poselskiej. W ciągu XVI wieku sejm urósł do roli decydującego organu władzy w państwie. Do kompetencji jego należało nie tylko uchwalanie podatków czy wyrażanie zgody na pospolite ruszenie, ale również podejmowanie zasadniczych postanowień wytyczających kierunek polityki zewnętrznej, a także kontrolowanie działalności ministrów (głównie podskarbiego) i samego monarchy. W 1578 r. sejm zastrzegł sobie prawo nobilitacji. Odbywający się pod przewodnictwem króla sąd sejmowy rozpatrywał sprawy miary najwyższej: zbrodnie stanu, przestępstwa urzędnicze.

Sejm zwoływał początkowo król w dowolnych terminach, zgodnie z potrzebą. On również ustalał cel obrad. Dopiero od 1573 r. przyjęto zasadę zwoływania sejmu raz na dwa lata na okres sześciu tygodni. Sejmy takie nazywano ordynaryjnymi (zwyczajnymi). Gdy tego wymagały okoliczności, król mógł zwołać również dwutygodniowy sejm ekstraordinaryjny (nadzwyczajny). Do czasów unii lubelskiej miejscem obrad bywał najczęściej Piotrków i Kraków, natomiast od unii obrady sejmu Rzeczypospolitej odbywały się zwykle w Warszawie, a co trzeci sejm miał odbywać się na terytorium Wielkiego Księstwa w Grodnie. Jedynie sejmy koronacyjne odbywały się nadal w Krakowie. Uchwały sejmowe, tzw. konstytucje, wymagały zgody wszystkich trzech sejmujących stanów. Zasada jednomyślności, przez którą rozumiano brak otwartego sprzeciwu, w XVI wieku nie była stosowana zbyt rygorystycznie, zwłaszcza jeśli oponenti byli nieliczni. Niemniej już wtedy zdarzały się wypadki rozchodzenia się sejmu bez powzięcia uchwały, gdy przez sześć tygodni nie potrafiono „urzędzić” stanowisk. W tych warunkach sejm stawał się świetną szkołą kompromisu, umiejętnością godzenia nieraz bardzo odmiennych poglądów i stanowisk. W wielonarodowościowej i wielowyznaniowej Rzeczypospolitej była to wiedza niezbędna i jej opanowanie dobrze świadczy o kulturze politycznej szlachty tego czasu. Nie starczyło jej jednak na dłużej niż na kilka pokoleń. Od połowy XVII wieku — od wprowadzenia zasady liberum veto — obradujący, zamiast dochodzić do kompromisu, woleli zrywać sejmy bez względu na konsekwencje, jakie mogło to mieć dla państwa.

Owczesne miasta polskie nie należały do największych w Europie. Niemniej stołeczny Kraków i bogaty, portowy Gdańsk przekroczyły już liczbę 20 tys. mieszkańców; Poznań, Warszawa, Lublin i Lwów miały ich powyżej 10 tys. Miasta odgrywały poważną rolę w życiu gospodarczym kraju.

w czasach Kochanowskiego skupiało się w nich ponad 100 proc. ludność.

Rzeczpospolita była krajem bogatym i zasobnym. Pola rodziły obficie. Obsiewano je co roku żytem, pszenicą, jęczmieniem, owsem a duże ilości zbożnego zboża zwłaszcza żyta eksportowano do krajów Europy zachodniej. Uprawiano len, ważny jako surowiec do warsztatów tkackich. W sadach kwitły wiosną i owocowały latem i jesienią czereśnie, wiśnie, jabłonie, grusze, orzechy, śliwy. Sadzono różne jarzyny: bób, groch, ogórki, kapustę, rzepę, marchew, pietruszkę, soczewicę, pasternak. Duże obszary zajmowała uprawa chmielu niezbędnego do wyrobu piwa. Hodowano kury, koguty, kapony, gęsi, kaczki. Na łakach pasły się stada krów i wołów. Te ostatnie używano do pracy w polu, przy orce, zwózce siana itp.; liczne stada wołów pędzono także ku Brzegowi nad Odrą i dalej w kraje niemieckie, by za nie uzyskać znaczne sumy pieniężne. Pod lasami, zwłaszcza w zagajnikach, debowych, wypasano świnie. Na Podolu, Ukrainie i Wołyniu, gdzie istniała odpowiednia gleba i doskonały klimat pozwalający na chów stepowy, znajdowały się najświeższe i najliczniejsze stadniny liczące nieraz setki kłaczy. W niektórych regionach trzymano duże ilości kóz, ale głównie owiec cenionych dla mięsa i mleka przede wszystkim jednak dla wełny z której tkano później cienkie i grube sukna, oraz dla skór potrzebnych na kozuchy, pokrycia ław itp. Oddawano się gorliwie hodowli ryb zakładając stawy i sadzawki. W lasach i puszczech kwitło bartnictwo, ale prowadzono też gospodarke pszczelnią w formie pasiecznictwa. W wielu sadach i ogrodach przy folwarkach istniały pasieki. Miód w czasach Kochanowskiego ceniono ogromnie, używano go bowiem tak do słodzenia potraw, jak i do wyrobu popularnego napitku. Obfitość w lasach i puszczech zwierza — jeleni, saren, turów, niedźwiedzi, lisów, rysi, zajęcy itp. — sprawiła że łowy dostarczały oprócz przyjemności sporo doskonałego mięsa i poszukiwanych skór. Z lasów i puszczy czerpano nie tylko żywność, ale brano drewno na budulec i opał, tutaj też kwitły różne przemysły — przede wszystkim wyrób smółki i popiołu, którego niemałe ilości zużywało ówczesne garbarstwo i inne gałęzie rzemiosła. W kniei można zatem było spotkać nie tylko drwali, ale też bartników, smolarzy.

Szlachecki praktyk ekonomiczny Mikołaj Rej tak pisał w „Żywocie człowieka poczciwego” o pożytkach płynących z dobrego gospodarowania:

*Iż różne są czasy w roku, też są i różne przy-
padki w gospodarstwie... Bo gdy przypadnie wio-
sna, azaż owo nie rozkosz z żonką, z czeladką po
sądkach, po ogródkach, sobie chodzić, szepczków na-
szczępić, drobne drzewka rozsadzić... Nasiejesz zio-
łek potrzebnych, rzodkiewek, salatek, rzeżuszek,
nasadzisz maluneczki, ogóreczki... Więc wło-
skich grochów, wleć wysokich koprow, wleć i
innych wiele rzeczy... Także przydzie czas jęczmy-
kowi, groszkowi, tatarczce... A wiosną, co najpil-
niej bądź pilnie, boć to głowa wszystkiemu rokowi...
Nuż gdy przydzie ono gorące lato, azaż nie roz-
kosz, gdy ono wszystko, coś na wiosnę robił, ko-
pał, nadobnieć dojrzeje a poroście? Anoć niosą
jabłuszka, gruszczyki, wisneczki, śliweczki z pier-
wszego szczępienia twego; wiec z ogóreczków ogó-
reczki, maluneczki, ogrodnę one, nie rozkoszy. Ano
młode maszka, syroczki, nastana, jajka, świeże, ano
kurki, gmerza, ano gaski, gęgaja, ano jagniatka,
wrzeszcza, ano prosiatka, biegają, ano rybki ska-
czą... Przydzie jesień, azaż nie rozkosz do siana
się przejeździć? Ano nadobnie uorano, nadobnie
sieją, wleczą... Przyjeździesz do domu; ano miody
podbierają, ano owieczki strzyją, ano owoce zno-
szą, zakrywają, a drugie suszą, ano rzepę, kapustę
do dołów chowają, układają... Przędzie zima; azaż
mala rozkosz, kto ma lasy, albo łowiska, z roz-
maitym się świrzem, nagonić, a jeśli się poszczę-
ści, wiec go nabić... Kto też ma jeziora, stawu, wiel-
kie niewody, azaż nie rozkosz, po alehokich wo-
dach, się nachodzić, albo najeździć, niewody za-
puścić, ryb rozlicznych, natowić... A na koniec, by
też nie było wiecej, azaż nie rozkosz, z charty, się
przejeździć, na cietrzewka, się zastawić, kuro-
patwiczkę, rozsiadłem, przuknąć, a przejeździwszy
się, a obławisz, się do domu, przyjechać? Ano
izba, ciepła, ano w kominie, gore, ano potraweczek,
nadobnych, nagotowano.*

W kraju nie brak także było mineralnych i krusz-
cowych bogactw naturalnych, które eksploatowano
od wielu już lat. W Bochni i Wieliczce w Krakow-
skim wydobywano sól kamienną. W okolicach
Przemysła, Drohobycza i Starej Soli występowały
źródła słone. Z solanek tych warzono sól svoka
i biała, również smaczna, jak kamienna, sól bocheń-
sko-wielicka. W Małopolsce w licznych miejsco-
wościach znajdowała się ruda żelazna, ołów i sre-
bro w Okuszu, Trzebini i Sławkowie, a siarka
w podkrakowskiej wsi Swoszowice.

Rzeczpospolita czasów Jana Kochanowskiego była
państwem wielonarodowościowym. Jej ludność
różniła się między sobą mową, religią, obyczaj-
owością, dniami codziennymi. Obok ludności wyzna-
jącej katolicyzm i prawosławie, byli wyznawcy
kościół ormiański, religii mojszowej, islamu.
Niektóre miasta, na przykład Mohylów, Kamieniec
Jazłowiec, Lwów, Lublin, Jarosław, zwłaszcza w
dniach jarmarcznych, przypominały z atmosfery
klimatu bazyli wschodnie. Krąmy i zgłęb kupców
ormiańskich, greckich, tureckich, żydowskich —
nie były tu czymś niecodziennym. Różnorodne
grupy etniczne współżyły ze sobą w państwie
polsko-litewskim na ogół zgodnie, asymilując
się dość szybko i stapiając ze sobą, wno-
sząc równocześnie swój wkład do ogólnopolskiej

kultury. Nie byłoby to twórcze współzycie moż-
liwe, gdyby nie tolerancja ówczesnej Polski.
główna w całej Europie. Już w 1415 r. rektor Aka-
demii Krakowskiej Paweł Włodkowic zabierając
głos na sejmie w Konstancji, potępił nawracanie
siłą pogan i dostawał uznanie prawa do swo-
bodnego życia na własnej ziemi wszystkich lud-
dów, zarówno chrześcijańskich, jak i niechrześ-
cijańskich. Te piękne humanistyczne postawy umoc-
niły się i rozwinęły w następnych dziesięciole-
ciach, przede wszystkim w XVI wieku. Nie znano
w Rzeczypospolitej wojen religijnych ani krwa-
wych masowych prześladowań za wyznawane
ogłady, jak to miało miejsce w innych krajach, na
przykład we Francji czy Niemczech, które tonęły
w strugach krwi wyznaniowej.

Reformacja, która w początkach XVI wieku
przetoczyła się nad polskimi miastami, a niebawem
przyjęta została przez liczną rzeszę szlachty i mag-
naterii, stanowiła doskonały oręż w walce ide-
ologicznej, politycznej i kulturalnej, ale nie zamie-
niła się — jak na zachodzie Europy — w walkę
na miecze. Nie było więc w Rzeczypospolitej —
jak we Francji — „nocy św. Bartłomieja” pod-
czas której dokonano rzezi różnowierców, nie za-
palony też stosy inkwizycyjne. Ciągnęli zatem
nad Wisłę, Bug i Niemen do tej krajiny spokoju
i wolności sumienia, prześladowani w Anglii,
Francji, Niemczech, Niderlandach i innych kra-
jach, znajdując na ogół przychylny przyjęcie po-
moc materialną, wpływowych protektorów i opie-
kunów, oraz możliwość pracy i uznania.

Polemiki religijne przyczyniły się do powstania
obfitego piśmiennictwa publicystycznego. Poprzez
krytykę przywilejów Kościoła i nadużyć kleru,
poprzez podjęcie dyskusji nad sprawami religii,
wprowadzenie tendencji narodowych, reformacja
służyła politycznej walce szlachty, dostarczała jej
bodźców i motywacji ideologicznej. Wczesnym ob-
jawem tych tendencji były głośne uchwały sejmi-
ku w Środzie z 1534 r., w których szlachta pro-
testowała przeciw monopolowi duchowieństwa w
dziedzinie kultury i ograniczeniom cenzury du-
chownej: *Item (także) prosimy, aby nam księża
nie bronili imprimować po polsku historii, kronik,
praw naszych i też innych rzeczy, a zwłaszcza
o Biblii, Albowiem każda sobie bić rzeczy roz-
maite, a czemu też nie mają bić naszym językiem?
Tu też wielka nam krzywda się widzi od księży,
albowiem każdy naród ma swym językiem pisma,
a nam księża każą słowami być.*

Atmosfera rozbudzonego życia umysłowego
sprzyjała twórczości naukowej. W wielu dzied-
zinach: Astronomia i matematyka, prawo i filologia
klasyczna znalazły w Polsce czasów Kochanow-
skiego podatny grunt do uprawy. To za jego ży-
cia ukazało się dzieło Mikołaja Kopernika „De
revolutionibus orbium coelestium” („O obrotach
sfer niebieskich”) i dzieło Andrzeja Frycza Mod-
rzewskiego „De Republica emendanda” („O popra-
wie Rzeczypospolitej”).

Dzieciństwo i wczesna młodość Kochanowskie-
go, urodzonego w 1530 r., przypadły na schyłek
panowania Zygmunta I Starego (król polski w
latach 1506—1548). Pod berłem tego światłego mo-
narchy nieskorego do wojny, miłośnika sztuki
i nauki, oraz jego małżonki, królowej Bony, trwał
wspaniały „złoty wiek” Rzeczypospolitej. Urodził
był to pan krasnej i sily, wielkiej — oisał o Zyg-
muncie I Starym kronikarz szesnastowieczny Mar-
cin Bielski — tak iż powroży targal, oodkowi, la-
mat; niewiele mówił, ale z baczeniem; był trochę
gniewliwy, ale jednak gniew umiał w sobie tajić...
Na walkę nie był skwapliwy, przeto od wielu o-
stronnych królów, miał wielką przyjaźń, na nie-
przyjaciela się nie ruszył, aż za wielką krzywdą,
i przeto mu Bóg dawał szczęście. Panując nad du-
żym, zasobnym krajem, w latach jego rozkwitu,
uważany był za jednego z największych władców
Europy. O jego względy zabiegali i monarcha
francuski Franciszek I i — choć nie zawsze szcze-
rze — kolejni cesarze: Maksymilian i Karol Hab-
sburgowie. Narastające niebezpieczeństwo turec-
kie, łącznie z obleżeniem w 1529 r. przez sultana
Solimana Wspaniałego Wiednia, sprawiły że ku
Krakowowi zwracały się coraz częściej i nadzieja
i ufnością, oczu całego chrześcijańskiego świata. Po
Zygmuncie I Starym rządy w Polsce w latach 1548—
1572, sprawował Zygmunt II August. Ze łwa, nie
ryś, lecz także lew, się rodzi. Toż się nam o tym
nym królu, rzecz godzi — tymi słowy, śpiewnik
historyczny z końca XVI wieku, charakteryzował
syna Zygmunta I Starego i Bony, Zygmunta II
Augusta, ostatniego przedstawiciela dynastii Jagi-
ellionów na tronie polskim. To Zygmunt II August
w 1569 r. na sejmie lubelskim, doprowadził do
unii realnej między Polską i Litwą, do trwałego
połączenia obu krajów. Formy nadane państwu
polsko-litewskiemu w Lublinie, utrzymały się w
mocy przez dwa wieki, z okładem — do Kon-
stytucji 3 maja 1791 r. Po krótkotrwałym pano-
waniu i ucieczce Francuza — Henryka Walezego,
w 1576 r. tron polski objął książę siedmiogrodzki
Stefan Batory, który z powrotem przywrócił Rze-
czypospolitej blask, potęgę. Kochanowskiemu było
dane dożyć do prawie ostatnich lat rządów króla-
wojownika — zmarł w niecałe dwa i pół roku
przed Batorym, 22 sierpnia 1584 r. w Lublinie.

Polska w czasach Kochanowskiego — za rzą-
dów Zygmunta I Starego i Zygmunta II Augu-
sta, Stefana Batorego — tkwiła w samym sercu
międzynarodowego życia i rozrywek politycz-
nych XVI stulecia, jako partner, ważny i wpły-
wowy. Zmierzch świetności i potęgi miały przy-
nieść dopiero lata późniejsze.

Adam Andrzej Witusik



Poeta Jan Kochanowski. Rysunek Jana Matejki



Król Zygmunt I Stary



Szlachta polska z XVI w. Rysunek Juliusza Kossaka

WIERSZE DLA DZIECI

Tadeusz Chudy

najpierw podszedł cicho koń
potem krowa stanęła przy oknie
i zza szyb patrzyli w dom:

— kto tu przybył
z miasta
w nocy?

zapiał kogut
zaszczał pies
przybiegły gęś i kaczka

i raz po raz
KWA KWA
Gę Gę
pytają się:

— jaki jest
Ten Ktoś
co w nocy
przybył z miasta?!

a on śpi...

od czubka głowy
aż do pięt
zanurzony w gęstym śnie

w pierwszym zdrowym śnie
na wakacjach

kiedy nikt nie widzi

zdarzyło się to na Wyspie
pośrodku Życia
pomiędzy
Ranem a Nocą

zjawił się nagle
w drzwiach
Nauczyciel

uczniowie stali w ławkach
a Kwaśniewski
z goździkami w łapie
sterczał przy tablicy

a z Innych Planet
gdzie Ludzie Inni
patrzą wciąż na nas
przez Teleskopy

ktoś
już
dokładnie
Kwaśniewskiego widzi

ale prędko na Planetach
robi się wieczór
mgłą zasłzy
Teleskopy

u nas wieczorem
kiedy nikt nie widzi
Rodzice jak Stęsknione Ryby
ławicami idą popod Szkołę
... może dzisiaj — mówią —
... przy tak ciemnej nocy
... w absolutnej ciszy
... wejść do budynku
... w ławkach usiąść
... trochę lekcji odrobić
może przyjdzie Taki Nauczyciel
co poprawi dawne noty...

raki

ze zgrzytem i chrzęstem
idą wojska potężne
rycerz za rycerzem
okryty pancerzem

a gdy zapytać o nazwisko
lub woje, ty znak
odpowiadają jak echo
po trzykroć:
rak — rak — rak

przez doły wykroty
przez wody niespokojne
idą wielonogi
w straszne szczypce zbrojne

a gdy zapytać: dokąd tak idą?
co będą cię lub rwać?
jedną tylko słyhać odpowiedź:
rak — rak — rak

przylot ptaków

już są tuż tuż
zza zamglonych gór
i bezkresnych mór

przybývają ptaki
z dalekich stron
stęsknione ptaki
w ojczysty dom

już zewsząd słyhać
radosny ich pisk
cieszą się śpieszą
ku nam co sił

a my
wznosząc w niebo
pełną zdumienia twarz
wołamy:

— jak nagle
jak wspaniale
odmłodził świat!

Nasz Pan wszystko wie
wie jak się pisze
duże „A”
i małe „b”

jest zawsze dobry
i bardzo mądry
przeczytał chyba
wszystkie książki

i właśnie za to
że taki jest
kocha go cała
Pierwsza C!

Ryszard Dunin

Zmartwienie Toli

Dzisiaj rano mała Tola
przyszła z babcią do przedszkola.
Wszyscy chłopcy i dziewczynki
robią do niej słodkie minki,
ona milczy jak zaklęta,
odrobinę uśmiechnięta.

— Moja Tolu, moja Tolu,
czy wypada to w przedszkolu
robić z dziećmi takie draki:
ani słówka do chłopaków,
ni słóweczka do dziewczynek,
tylko ta nadęta mina?!

Tych docinków Tola mała
dłużej już nie wytrzymała
i do babci z żalem w pędy:
— Przecież mi wypadły zęby!

Traktor i koń

Mijał traktor
konia w drodze,
a był zły:
— „Lepiej już
na hulajnóżde
ganiaj psy!
Czy ty wiesz,
że dzisiaj koń
to zwykle kpy?!”

Zaterkotał
no i zgasł,
konik zaś
popędził w las.

Kiedy wracał
traktor znów
wyterkotał
kilka słów.
Potem — pras!
I zgasł.

Więcej silnik
nie zapalił,
konik zaś
pojechał dalej.

Zakochany mak

Pewnej nocy, raz z nienacka
wyrósł pod okienkiem Jacka
przeuroczy mak czerwony,
który wnet zapragnął żony,
gdyż nie znosił samotności,
lubił ogród pełen gości.

„Ale mak ten nie chciał żony,
która miała nos czerwony.”

Nagle serce mu zadrżało,
ujrzał bowiem śnieżnobiałą
główkę śliczną, zgrabną, małą,
w ogródeczku tuż za płotem.

Westchnął ciężko: Co za kwiat!?,
I z wrażenia cały zbladł.

Wysłał liścik do Jedynej
a w nim piękne oświadczyły:
— „Proszę byś MAKOWA
BIAŁA
moją żoną zostać chciała”.

Trafił list do adresatki.
Białe jej zadrżały płatki.
Na myśl, że zostanie żoną
stała się jak mak czerwona.

I chyba mi uwierzycie,
taką była całe życie.

Podróż zajaczka do miasta

Siedział zajac raz na miedzy
i lot wróbla pilnie śledził:

— Powiedz wróblu, miły bracie,
czy wy w mieście kogoś znacie?
— Mój zajaczku, oczywiście!
Znamy w mieście osób trzysta!

— Chociaż kłopot miewam z nogą
to do miasta pójdę z tobą.



Maria Urban — z cyklu „Dzieci”
Fot. Andrzej Polakowski

Słońce świeci,
wróbel leci,
zając skacze,
kura gdaże:

— A wy dokąd? Kud-ku-da?
Czy to jest uczciwa gra?
Ze wsi wiejesz w miasta progi
mój zajaczku, mój niebogi?
Z głodu umrzesz bez kapusty,
nie dożyjesz do zapustów!
Kud-kuda! Kud-kuda!

— Zamknij dziób swój, stara
kwoko
bo cię zamaluję w oko! —
rzekł wróbelek świszczypała
i uczynił to bez mała,
ale kura odskoczyła
i w kurniku się schroniła.

Świeci pięknie
jasne słońce,
leci wróbel
nad zającem,
szarak ciągle
podskakuje
i do miasta
tak wędrują.

No i wreszcie istny cud!
Jest przed nimi wielki gród.
Ruch olbrzymi na ulicy,
samochodów ani zliczyć.

— Jak tu przejść na drugą stronę
pyta zając przerażony.
A wróbelek ujrzał dzieci
i natychmiast tam poleciał,
bowiem wiedział z doświadczenia,
że coś znajdzie do jedzenia.

— Stój! Zaczekaj! — zając w krzyk
ale wróbel już mu znikł.

Głód dokuczał zajaczkowi,
więc się mocno nad tym głowił,
co by zdobyć do zjedzenia?
A tu trawki ani cienia
i ten asfalt przy asfalcie,
jak tu może rosnąć żarcie?
Gdzie kapustka? Gdzie salata?
I gdzie to wróblisko lata?

Zając tak się zdenerwował,
że z powrotem powędrował.

Wreszcie ujrzał wieś rodzinną
i gospodyni białe chusty,
krok przyspieszył, aby szybciej
w rzędach znaleźć się kapusty.

— Kura miała wiele racji —
rzekł zajaczek po kolacji. —

Niepotrzebnie żem się trudził,
miasto dobre jest dla ludzi!

O capie chwalicie

Na podwórko przyszedł cap
i na łapki kotki siadł.

— Niech pan wstanie, panie capie!
Nie dość żeś mi siadł na łapie,
to do tego jeszcze sapiesz!

Na to z łapek wstając cap
białej kotce rzecze tak:

— A czy wiesz ty, kotko mała,
kogo tu przed sobą masz?
A czy ty mnie, kotko biała,
choćby odrobinę znasz?
Jam jest wszystkich capów perła!
Najważniejszy! Prawie król!
Jeśli nie chcesz więc oberwać,
to swą mordkę raczej stull!
To przede mną drzeć — czynna
nawet sam straszliwy lew,
kiedy tylko odrobinę
zmarszczę choćby jedną brew!
Niedźwiedź, gdy mnie ujrzał z dala,
czmychnął biedak, ile sił,
tak mój wygląd go zniewalał,
że ze strachu ledwie żył!
Tygrys również mi nie groźny,
nieraz już przede mną wiał,
może być on u mnie woźnym
jeśli tylko będę chciał!

Na to kotka zszokowana:
— Słucham capie cię od rana
i nadzieić się nie mogę —
Masz za sobą chlubną drogę!
Choć przy łwie tyś taki mały,
ale duch w tobie wspaniały!

— To nie wszystko — odrzekł cap
i na tylnych nogach siadł.
— Nie chcę chwalić się przed tobą,
lecz potrafię, jeśli zechcę
wszystko zrobić jedną nogą.
Jeśli zechcesz — wypróbuj mnie!
I popatrzyl dumnie cap.

Kotka na to zalotnie:
— No, to proszę! Myszki złap!

Zygmunt Mikulski

Kolej

Kiedy deszcz nic, tylko pada,
jaka inna na to rada?
Alek, Olek, Tolek, Polek,
Monika — robimy kolej.



Maria Urban — z cyklu „Dzieci”
Fot. Eliza Kwaśniewska

Do Afryki, gdzie Limpopo,
do Sofii, gdzie słońce błyska.
A wagony? Zaden kłopot —
krzesło, stółek i walizka.

Wsiadać z prawidłowej strony,
nie jadą przecież mazgaje.
Pociąg już jest opóźniony,
więc w Paryżu nie przystaje.

Tylko trochę w Mogielnicy.
Smaczna ciocie marmolada —
tacy jak my podróżnicy
dobrze wiedzą, gdzie wysiadać.

Więc niech nawet grad, nie deszcz,
nie damy się tej potędze.
W długi wzdłuż, w szeroki wszcz
świat jedziemy coraz prędzej.

Nie ma mowy, żeby trema,
to rozumieć samo ma się.
Belgrad. Ustka. Parczew. Brema,
wiele miast, co są w atlasie.

W świata wszystkie cztery końce,
może i do dalajłamy.
Ale co? Znow świeci słońce?
Wobec tego wysiadamy.

Rysunki Dyzia

Babcia tak do Dyzia rzecze:
„Zrób mi ładny rysuneczek”.

Dyzio lubi coś zmalować,
więc po rozum idzie głowa:

„Co tu namalować babci?
Może jakieś koci-łapci?”

Może kompot, sok, pierogi?
Może dziadzia z wąsem srogim?”

Nie, to wszystko coś za słabe,
wiem już: narysuję żabę.

A na drugiej kartce coś
wyraźnego nie za dość”.

Babcia tę żabę ujrzała
i z rozpaczy aż zadrżała:

„Wnuczku, kocham cię szalenie,
a ty mi takie stworzenie

śliskie, mokre i przebrzydłe.
Precz natychmiast z tym strasznydłem!

Tego też przyjąć nie mogę:
po co pożar? po co ogień?”

„Babciu — Dyzio lubi żarty —
popatrz jeszcze raz na karty.

To nie pożar, nie ma strachu,
to jest piękny słońca zachód.

A to wcale nie jest plaż.
Babciu, popatrz jeszcze raz.

To królowna, właśnie, a nie
żaba. Przed odczarowaniem”.

Babcia pozbyła się złości
i Dyziovi dała „coś-ci”:

dużo tortu, a na zgodę
jeszcze większy soku spodek.

Kiedy z miasta przyszła mama,
w uczcie udział wzięła sama.

Na co Dyzio nie od rzeczy
po namyśle rzekł głębokim:
„Dobry jest ten rysuneczek,
co się kończy tortem z sokiem”.

Rysunki ozioci z wystawy w Klubie „Masa”



Artur Kurowski — Szkoła Podstawowa Nr 33.



Katarzyna Roupert — Szkoła Podstawowa Nr 21.



Agnieszka Dziwiszek — Szkoła Podstawowa
Nr 35.



Dorota Złomańczuk — Szkoła Podstawowa Nr 33.

O potrzebie czytań

Krzysztof Derdowski

W PRZESZŁOŚCI było w Polsce wielu pisarzy produkujących czytała. Bywali i tacy jak Sienkiewicz, Loziński, Kraszewski, którzy z powodzeniem godzili wartości literackie z poczytnością swych dzieł. Pisali dla wielotysięcznej publiczności, nie rezygnując z ambicji artystycznych. Byli mistrzami w konstruowaniu akcji i postaci. Nie epatując warształem literackim, panowali nad nim. Potrafili także zaspokajać potrzeby czytelników. Dziś, niestety sztuka pisania czytań, czyli utworów czytanych z wyiekami na twarzy, prawie zanikła. Mamy za to, w przeważającej części, do czynienia z książkami prześcigającymi się w komplikowaniu narracji, w drażnieniu stanów i spraw marginalnych. Dzieje się tak dlatego, że pisarze dzisiejsi nie traktują swego wytworu jako produktu rynkowego. Innymi słowy był pisarza nie zależy od praw rynkowych dyktowanych przez czytelnika. Powieść tak czy owak przeczytają zawodowi krytycy, a zalegające półki księgarskie egzemplarze prędzej czy później pochłona biblioteki. Pisarz współczesny nie musi się liczyć z odbiorcą i rynkiem wydawniczym. Pozostawiony sam ze swoją muzą, tworzy często potworki, a nie książki. Uwolniony od czytelnika, popada nieradko w manieryzm, w pseudoawangardowość, które służą mu do ukrycia własnej intelektualnej i ideologicznej pustki.

Co by się tu powiedziało, mamy taką sytuację, że z braku rodzimej produkcji czytań importujemy je z zagranicy. Na tej zasadzie funkcjonują u nas książki Remarque'a, Moravii, Steinbecka i innych. Są to dzieła nie tylko poczytne, ale i legitymujące się sporymi wartościami estetycznymi i poznawczymi. Bądź co bądź wśród wymienionych autorów są też zdobywcy Nagrody Nobla. Komercyjna wartość ich pisarstwa sasiaduje z wysokim poziomem ideowym i artystycznym. Wspólną cechą ich dzieł jest dbałość o klarowność akcji i wyrazistość postaci. Niezależnie od tego, jak głęboko wnika ona w problemy społeczne, metafizyczne, nie burzy to toku narracji, nie zaciemnia postaci. Najpierw starają się opowiedzieć pewną historię, o ile to możliwe frapującą wtórnym zaś dopiero efektem jest jej wydźwięk moralny czy filozoficzny. Cóż autorzy czytań zdają sobie sprawę z tego, że powieść nie jest rozprawą, nieprofesjonalnym filozofowaniem i dlatego zwyczajnie opowiadają, co zdarzyło się pewnym ludziom i, o dziwo, tak czyniąc, ujawniają wiele prawd o ludzkiej kondycji.

Na pierwszy plan w czytałości, jak powiedziałem, wystawia się postać. Jeżeli jest to mężczyzna, to zazwyczaj człowiek twardy, nieustępliwy. Zmaga się on z życiem w nieprzejednanej walce. I co istotne — bardzo często ponosi klęskę. Przyczyny jego

przegranej są zazwyczaj dwie: kobieta lub słaby mężczyzna. Tak już jest, że w czytałości słabych czasami bezwzględnych mężczyzn okazują się słabi nieporadni. Ci ostatni bardzo często są przyczyną nieszczęść swych silnych towarzyszy. Ich wzajemna przyjaźń kończy się zazwyczaj tragicznie. Tak dzieje się w powieściach M. Hłaski, który jest jednym z nielicznych współczesnych polskich autorów czytań. Wzrostowa wręcz książka, przedstawiająca przyjaźń słabego z mocnym i powikłania stał wynikające może być mini-powieścią Hłaski „Wszyscy byli odwrócenii”. Na jej kartach dochodzi do śmiertelnego pojedynku słabego z mocnym, Dawida z Goliatem i zgodnie z biblijnym prototypem zwycięża słabszy. Znakomita wersja męskiej przyjaźni słabego z mocnym jest książka J. Steinbecka „Myszy i ludzie”. Mamy tu do czynienia z przyjaźnią chorego umysłowo olbrzyma z przeciętnym robotnikiem rolnym. Goliat mimo przewag fizycznych jest z góry skazany na klęskę. Inaczej nieco realizuje się ów schemat nieszczęśliwej przyjaźni słabego z silnym w powieści J. Jonesa „Stąd do wieczności”. Obu bohaterów przyjaźń uszlachetnia, pozwala przeciwstawić się rygorom życia koszarowego i wieziennego.

Czytała operują oczywiście znacznie szerszym wachlarzem męskich postaci. Wśród nich porzeczne miejsce zajmują alkoholicy, wykołajeńcy, kryminaliści. Ich losy są dramatyczne, skomplikowane i już przez sam ten fakt stanowią doskonały materiał na czytałość. Sama postać jest tu potencjalnym nośnikiem intrygującej akcji.

Obok postaci męskich pojawiają się także w tych powieściach doskonale skrojone postaci kobiece. Są one zazwyczaj piękne i niebezpieczne. Szczególnie u autora „Na wschód od Edenu” kobieta wydaje się być pięknym demone. Jest złem samym w sobie. Wspomniałem już, że bywa przyczyną klęski silnego, prawego mężczyzny. Jest siłą destrukcyjną w trójkącie miłosnym: słaby — mocny — kobieta. Czuje się lepiej niż mężczyzna w owej uczuciowej matni.

Bardzo chętnie korzystają też autorzy czytań ze schematów archetypicznych. Prawdziwym mistrzem w operowaniu tego typu schematami jest A. Moravia. Jego bohaterowie nieomal wiernie po-

Zapytajcie Macieja

Dokończenie ze str. 1

hab. Podkaminerem udaje się na rozmowę z prof. Grochowskim i zasypuje go przewrotnymi tezami tego pierwszego, oczywiście nie informując o tym, kto jest ich autorem. Używa niezobowiązującego zwrotu „słyszysz się...”, sugerując w ten sposób, że „słyszysz się” u źródeł nieźle poinformowanych i stanowiących „kręgi” dość szerokie. Ten niewinny zabieg rodzi uroczę implikacje. Dzięki niemu profesor nie czuje się skrupowany realnością konkretnego przeciwnika i między anonimowych zwolenników przykrecańa śrubby cenowej w rolnictwie nawala liczb i faktów statystycznych będących dorobkiem pracowitego Instytutu — zapewne do końca nie wiedząc, że pośrednio wystawia na próbę autorytet dwu dostojnych instytutów.

Tu jednak pojawia się kolejna wątpliwość — w gruncie rzeczy nie wiadomo, czy profesor naprawdę nie wie, kogo konkretnie oskarża o demagogię, nie liczenie się z faktami. Tezy dr. Pod-

kaminera dawno, rok temu, poszły w świat ze szpalt „Polityki”. Są przy tym tak bulwersujące i egzotyczne, że wydaje się rzeczą wręcz nieprawdopodobną, aby ich autorstwo poszło w niepamięć.

A skoro tak? Jeżeli tak, to tym gorzej dla rolnictwa. Jeżeli oto przedstawiciel Instytutu Ekonomiki Rolnej z premedytacją przypieka na żywym ogniu kolegę z Instytutu Nauk Ekonomicznych, to w sumie sytuacja jest ponura nie tylko między instytutami, co bez większego żalu dałoby się przeżyć. Poępnie jest bowiem z czymś nieskończenie ważniejszym, mianowicie z oficjalną czy półoficjalną koncepcją rozwoju naszego rolnictwa, reprezentowaną na szczytach nauki, w newralgicznej sferze cen i kosztów produkcji rolnej.

No bo jakże: po tylu zakrętach ekonomicznych, politycznych i wręcz doktrynalnych tego działu gospodarki, naukowcy zdają się nadal nie mieć pewności, co odpowiedzieć. Jeden z

całą mocą swojego i po części instytucjonalnego autorytetu utrzymuje, że trzeba rolników przydusić cenami, społeczno-gospodarczymi kosztami ogólnego kryzysu. Drugi dowodzi czegoś przeciwnego: trzeba rolników cenami nęcić, a nie odstraszać. Dzieje się to w majestacie nauki. Cóż więc mają czynić ci, którzy w majestacie władzy będą zmuszeni w najbliższej przyszłości podejmować (albo już podejmują) konkretne decyzje, ustalać przyszłą strategię polskiego rolnictwa w kontekście całej gospodarki narodowej? Z czym wyjdą, jeśli respektując naukę, przedtem udadzą się na konsultację do Instytutu Nauk Ekonomicznych, potem do Instytutu Ekonomiki Rolnej?

Myślę, że warto prześledzić, z czym opuszczają te dwie świątynie nauki. Co im tam podpowiedzą strategzy polskiego rolnictwa?

Jeśli zastosują kolejność Andrzeja Mozolowskiego, w pierwszej wysłuchają doktryny Instytutu Nauk Ekonomicznych. Z pewnością na proscenium pojawi się tam dr Leon Podkaminer — nie wskazuje na to, aby mógł to uczynić ktoś inny w tym instytucie. Otrzymają szereg z dawna przemysłowych konkluzji. Oto one:

— Zbyt wysoka rentowność produkcji rolnej przyczynia się do jej spadku i nadmiernego zużycia środków produkcji. Oplaca się wtedy ta produkcja nawet najgorszym rolnikom.

— Wiadomo, że dobrze, jak nigdy przedtem.

— Ceny skupu rosną szybciej niż ceny środków produkcji rolniczej.

— Podatki rolnicze nie pokrywają nawet trzydziestej części dotacji pań-

stwa dla rolnictwa.

— Dodatkowym prezentem są kredyty inwestycyjne, spłacane po latach zdewaluowaną złotówką.

— Rolnictwo Zachodu ma się, tak dobrze, gdyż tam ceny skupu rosną wolniej niż ceny środków do produkcji rolnej.

— Uprzemysłowienie kraju odbywało się głównie kosztem ludności miejskiej.

Dr Podkaminer rzuci jeszcze kilka innych sentencji, np. na temat gospodarstw państwowych, odpływu młodzieży ze wsi do miast, a jego ostateczna konkluzja będzie głęboko oskarżycielska: w nadmiernie zawyżonym standardzie życia wsi tkwi źródło wszystkich plag naszej gospodarki, konkretnie zaś „niskiej wydajności pracy — także poza rolnictwem — nasilania się wyścigów płacowych, inflacji, spadku stopy życiowej całego społeczeństwa”.

Po takiej ocenie polskiego rolnictwa — jako enklawy dobrobytu, nierobstwa i marnotrawstwa — może się zdziwić, że opinie Instytutu Ekonomiki Rolnej wydają się po prostu zbędne, a już z pewnością niewygodne. Trudno będzie wysłuchać do końca takich ludzi, jak prof. Grochowski. To kłopotliwy doradca. Zamiast głośniejszego mędrkowania, przejdzie z miejsca do faktów. Zamiast metody pouczania posłuży się olejądą, moźolnie gromadzo-nych liczb. Nastąpi diametralne odwrócenie oceny rolnictwa i jego kontekstu społeczno-ekonomicznego.

Generalnie biorąc, kontekst ów streszcza się w tezie, że „rolnictwo dźwiga gospodarkę i więcej daje niż bierze.”



Rys. Zygmunt Pytlak

ALTERNATYWA



Fot. Waldemar Stępień



Rys. Andrzej Stok

wiarzają rodzinne komplikacje antyku. Az roi się w powieściach Morawii od zazdrosnych o córki matki od ojców zakochanych w córkach. Przy tej okazji udaje się też stworzyć autorowi „Rzymianki” wspaniałe typy kobiece: przekonujące postaci prostytutki matron podlotków. Wzbudza one w czytelniku na przemian litość i gniew. Podobnie jak bohaterki „Stąd do wieczności”. Jedną z nich, żona pułkownika Holmesa, jest dojrzała, jeśli nie powiedziewać z wolną starzejącą się kobietą, pragnącą miłości. Jest typową dla czytadła czter-

dziestoletnią obumierającą pięknością która wzrusza ale i skłania do szerszej refleksji na temat przemijania i śmierci.

Prawie każde czytadło ma rozbudowany wątek erotyczny. Bywa że autor koncentruje się na nim. Tak rzecz się ma w przypadku sławnej erotycznej powieści R. Alleya „Ostatnie tango w Paryżu”. Erotyka jest tu treścią życia bohaterów ich narzędziem w walce z przeciwnościami losu i ze śmiercią. W powieści J. Baldwin „Inny kraj” erotyka jest natomiast swoistym czyszcem w życiu bohaterów. Motorem napędowym tego czytadła jest rasizm i jak się wydaje nierozdzielnie z nim związane dewiacje seksualne. Czarną bolesną i wyniszczającą erotykę preferuje w swych powieściach J. Steinbeck, Mieszkańska, brudna obnaża A. Moravia.

Erotyka stanowi podstawową więź społeczną w omawianym tu rodzaju literatury i niezbędna jej właściwością jest egzotyka. Egzotyke należy jednak w tym wypadku rozumieć dość szeroko. Rzecz bowiem w tym, że akcja wielu czytadeł rozgrywa się w miejscach dla czytelnika niebezpiecznych, trudno dostępnych i tak bohaterowie bardzo często umiejscowieni są w więzieniu w szpitalu dla umysłowo chorych. Już samo miejsce akcji zmusza ich do działania zmusza do walki. Ustawienie bohaterów oko z niebezpieczeństwem oto podstawowa funkcja stosowanej w czytadłach egzotyki. Człowiek sprawdza się dopiero w sytuacji trudnej zaprzeczającej życiowej rutynie. Niebezpieczeństwo ujawnia prawdziwe wartości człowieka.

Podobne funkcje co egzotyka pełni w czytadłach czas w którym żyją bohaterowie. Najczęściej jest to okres politycznego i społecznego fermentu. Wprowadza to w życie bohaterów element niepewności, obawy. Muszą oni nie tylko sytuować się wobec powikłań własnego losu ale i wobec bezwzględnej mołoch historii. Na tej zasadzie funkcjonują bohaterowie Remarque'a Morawii Hemingway'a. Przyszło im żyć i realizować swe marzenia w okresie wojny faszystowskiej. Wydarzenia polityczne w sposób decydujący wpływają na ich losy, głęboko wnikać w osobowość.

Sprawą niezwykle istotną dla czytelników czytadeł jest także postać autora. Pisarze doskonale zdają sobie z tego sprawę i starają się stworzyć

wrażenie, jakoby sami przeżyli niezwykle przygodny bohaterów i czasem jest to i rzeczywiście. Życie takich pisarzy jak London Hlasko zadziwia i fascynuje czytelników stanowiąc o dodatkowym pikantnym smaku czytadeł, zwyczajnie że autorzy potrafią i chca szokować odbiorcę. M. Hlasko na przykład w „Nawróconym w Jaffie” ogłasza wszem i wobec że jest mordercą. Trzeba jednak zaznaczyć że „Nawrócony w Jaffie” jest swoistą parodią czytadła. Jeden z bohaterów tej książki wymyśla i układa typowe dla czytadła dialogi i sytuacje i w ten sposób ujawnia ich schematyczność. Bohaterowie tej powieści są świadomi konwencji, w której działają a jednocześnie nie mogą się z niej wyzwolić. Nie jedyny to zresztą przypadek a raczej reguła że autorzy dobrych czy 'adeł nagminnie przekraczają schematyczne konwencje.

Po tym krótkim przeglądzie typowych dla czytadeł postaci i schematów, nie wyczerpującym, rzecz jasna ich różnorodności i bezwzględnej mutacji, można już zauważyć że ten rodzaj literatury odpowiada komiksowej i filmowej wyobraźni współczesnego odbiorcy kultury. Stąd tyle w nim przysławianych postaci i silnie uwypuklona akcja. Nie przypadkiem także większość dobrych czytadeł do czekało się odanych adaptacji filmowych. Wiele wymienionych tu książek jak chociażby „Stąd do wieczności” „Ostatnie tango w Paryżu” stanowiło podstawę dla kasowych i popularnych filmów. Czytadła bowiem, tak jak i film, zaspokajają potrzebę przygody i mocnych wrażeń. Musie ze ujawniają również wstydliwie skrywaną a wyznawana przez wielu czytelników mitologię męskości, odwagi i miłości. Tacy pisarze jak Moravia czy Hemingway trafiają w najczulsze punkty psychicznej konstrukcji czytelnika.

Czytadła jak sądzę, powinny stanowić grunt dla dobrze rozwijającej się literatury. Powinny być epoką dla próby eksperymentalnej i awangardowej. Bez takiej podstawy literatura, nie wiem jak ambitna i kunsztowna, wisi po prostu w powietrzu. I taka sytuacja panuje właśnie we współczesnej literaturze polskiej. Coraz dotkliwiej odczuwany jest w niej brak komercyjnych i solidnie warsztatowo zrobionych czytadeł, których nie zastąpią kryminały czy literatura science fiction.

I przestaje być tu ważne, czy profesor mówi we własnym imieniu, czy też głosem całego instytutu. Podaje bowiem liczby, fakty, argumenty rzeczowe — a te są, jak należy wnosić, dorobkiem całego instytutu. Mówią one coś wręcz przeciwnego niż dr Podkaminer, który zresztą czuje zdecydowaną awersję do liczb, do badań statystycznych itp. dowodów. Jemu wystarcza doktryna — ma być tak, jak twierdzi, więc jest tak, jak twierdzi.

Tymczasem prof. Grochowski już na wstępie rozprawia się z mitem o rzekomo wysokich cenach skupu produktów rolnych na tle ogólnych kosztów produkcji i konsumpcji gospodarstwa wiejskiego. Przyjmując ceny z 1980 roku za 100, stwierdza, że wskaźnik cen, po których rolnicy sprzedawali produkty w 1983 roku, zamyka się liczbą 283. Tymczasem wszystko, co w tym okresie kupowali, było relatywnie droższe, i tak: za towary inwestycyjne wskaźnik wyniósł 355, za produkcyjne 319, a konsumpcyjne — 308. Co więcej — dochód narodowy wytworzony w tym czasie przez sektor rolnictwa stanowi 21 proc., zaś fundusz spożywczy w przeliczeniu na jednego zatrudnionego spadł o 8 proc. W cenach porównywalnych oznacza to, że rolnicy dali do wspólnego narodowego „kotła” o 140 mld zł więcej, a wzięli tylko o 40 mld więcej, co oznacza, że na wsparcie pozostałych działów gospodarki dali 100 mld zł. A mogli i musieli dać dlatego, że w 1983 roku osiągnęli produkcję równą produkcji sprzed kryzysu, podczas gdy pozostałe gałęzie gospodarki narodowej dały w ubiegłym roku zaledwie 70 proc. produkcji sprzed kryzysu — oczywiście dowód na to, kto kogo utrzymuje.

Sprawą najbardziej drażliwą, a jednocześnie najważniejszą dla społeczno-ekonomicznej sytuacji gospodarstwa wiejskiego są ceny skupu. To dzięki nim — zbyt wysokim, zdaniem dr. Podkaminera — wieś „ma się jak nigdy przedtem”, m.in. dlatego, że preferują gospodarstwa słabe, źle prowadzone.

Tymczasem ceny te, jak wykazuje prof. Grochowski, są ustalane „pod” gospodarstwa obszarowo średnie — o areale 5—10 hektarów. W rezultacie gospodarstwa małe osiągają zaledwie 70 proc. porównywalnego dochodu, podczas gdy gospodarstwa powyżej 10 ha — aż 150 proc. Taki układ cen i dochodów działa stymulująco na strukturę obszarową polskiego rolnictwa indywidualnego. Jest to działanie powolne, lecz wyraźne. W ciągu poprzednich czterech lat ogólna ilość gospodarstw zmalała o 7 proc. Stało się to na skutek zniszczenia liczby gospodarstw małych o 9 proc. i wzrostu ilości dużych (powyżej 10 ha) o 7 proc. Dzięki tym przesunięciom średnia powierzchnia gospodarstw największych wzrosła z 12,5 ha do 13,6 ha.

Na tych liczbach prof. Grochowski kończy rozważania o strukturze agrarnej wsi i przechodzi do wylizania jej niedostatków, utrudniających dalszy wzrost wydajności i czyniących pracę na roli mało atrakcyjną. Oto lista najważniejszych: mała efektywność nawożenia w porównaniu z wynikami rolnictwa zachodniego, ogólnie znane niedostaki w zaopatrzeniu rolnictwa, niewielkie zużycie środków ochrony roślin, katastrofalny brak wody, zaniedbanie całej infrastruktury, a wreszcie — znów powracając do cen i kosztów — znaczny, choć ukryty podatek obrotowy, w kalkulowany w cenę każdej maszyny, widel, lemiesz czy gumiaków. Rolnik w minimalnym procencie odbiera sobie ten podatek ze świadczeń państwa na kina, teatry, komunikację miejską, telefony i dziesiątki innych dóbr dostępnych powszechnie ludności miejskiej. To wszystko pogłębia przepaść w strukturze socjalno-bytowej wsi i miast i nie wolno tego nie dostrzegać w polityce społecznej, zaś fiat na podwórzu, lodówka i telewizor w mieszkaniu rolnika to bardzo powierzchowne kryterium oceny jego pozycji materialnej i socjalnej.

Tak więc obydwaj adwersarze nie znajdują w swojej argumentacji ani jednego wspólnego spojrzenia na aktualną kondycję drugiej po przemyśle dziedziny gospodarki narodowej, a zatem dziedziny, w której ocenie tak skrajny ogład wydaje się niemożliwy. W końcu nie mamy tu do czynienia z impresjami dwóch panów po obejrzanym przedstawieniu czy filmu, lecz z opinią o realnej rzeczywistości połowy gospodarki, połowy społeczeństwa, a pośrednio, w kontekście żywności, całego narodu.

To chyba dostateczny powód do rozterki dla przeciętnych zjadaczy chleba. Im się wydaje, nie bez powodu, że tam, w sżtach naukowych, siedzą ludzie — komputery, o lbach jak parasole! Tymczasem — chaos, subiektywizm, demagogia, sprzeczności sądów i zwyczajna beznadziejność, składająca się na dramaturgię naukowych dysput o teraźniejszości i przyszłości polskiego rolnictwa. Mało przy tym pocieszające może być spekulowanie o tym, kogo jest więcej — doktorów Podkaminera czy profesorów Grochowskich. Skrajność ich ocen jest tak rażąca, że niemal gwarantuje, iż nie zwycięży ani koncepcja jednego, ani drugiego, i w końcu rolnictwo podryfuje swoją starą nijaką drogą — od kryzysu do kryzysu; od podwyżki cen towarów do podwyżki cen skupu; od awantury o spadek pogłowia świń czy bydła, po nie wykorzystaną rzekę mleczną; od zapisywania się na przydział lemieszka w miejscowym geesie, po rygoryzyczne listy oczekujących na traktory i części zamienne do nich.



Rys. Józef Tarłowski

Tego rodzaju rozterki czytelnika obydwu wywiadów redaktora Mozolowskiego towarzyszyły zapewne każdemu, kto uważnie, a więc ze zgrozą dobrał do ich końca i swoją wypowiedź wcale nie zamierzałbym powiększać tego horroru — gdyby nie jedno spostrzeżenie. Oto zniemacka dostrzeżeniem w obydwu wypowiedziach pewną nić wspólną. Łączyła ona nie to, o czym mówili, lecz to, czego żaden nie poruszył, a mianowicie sprawę dalszych losów gospodarstw chłopo-robotniczych, ściślej zaś gospodarstw dwuzawodowców.

Są ich setki tysięcy: żadna poważna rozmowa o sytuacji rolnictwa indywidualnego nie powinna ich pomijać. Gospodarstwa te, z konieczności małe, a więc przeskadzające w zwiększaniu przeciętnego obszaru gospodarstw, są wyjątkowo odporne na fluktuacje cenowe, a więc na zniechęcanie ich właścicieli do dalszego gospodarowania, do trwania między przemysłem a rolnictwem, między miastem a wsią. Ich dochód jednostkowy jest daleko niższy od dochodu gospodarstw średnich czy dużych, a mimo tego mają się zupełnie nieźle, gdyż wspomagają je zarobki z drugiego zawodu.

Co z nimi? Dr Podkaminer już przed rokiem proponował, aby wykończyć je drastycznym wzrostem cen środków produkcji, dowodząc tym samym, że nie docenia ich odporności płynącej z łączenia dochodów z dwóch źródeł. Jak na razie, nikt jego pomysłu nie kupił. Teraz z kolei „słyszysz się” — by użyć sformułowania red. Mozolowskiego — o projekcie ustawy, której mocą przy-

najmniej jedna osoba z małżeństwa chłopo-robotniczego byłaby zmuszona albo rzucić pracę poza rolnictwem, albo wyzbyć się gospodarstwa!

Pomysł arcyciekawy. Z dwoma wszakże zastrzeżeniami. Po pierwsze: kto — z dnia na dzień — przejmie i zagospodaruje te setki tysięcy hektarów? Po drugie — jakie to wywoła skutki społeczno-socjalne zarówno w mieście, jak i na wsi, w przemyśle i rolnictwie, skoro tak jakoś dziwnie się składa, że stale brakuje rąk do pracy i tu i tam?

Nieodparcie nasuwa się w tym miejscu przykład Zachodu. Tam jakoś sobie z tym radzą. Oto od zakończenia wojny ponad połowa ludności rolniczej państw EWG odeszła do innych zawodów, a mimo tego magazyny trzeczczą od masła i mleka w proszku, podczas gdy np. nasz eksport byków do jednego z tych państw jest w zasadzie przemytem, robionym w cichoci, gdyż inne państwa EWG nie mają co robić ze swoim mięsem. Ludzi w rolnictwie po kilkanaście procent, bezrobocie w miastach, a łańcucha w bród.

Sądzę, że dla profesora Grochowskiego jest to pytanie retoryczne. Nie jestem pewny, czy takim wyda się dr. Podkaminerowi. Jeśli rzecz jasna, dr. Podkaminer w ogóle istnieje, a nie jest tylko tworem demonicznej wyobraźni redaktora Mozolowskiego. Za które to podejrzenie, na wszelki wypadek, z góry przepraszam obydwu panów.

Henryk Pająk

Wielki Elton

TRZEBA było aż siedemnastu lat, by ktoś powtórzył wyczyn Rolling Stonesów w Sali Kongresowej. Żadna z gwiazd muzyki rozrywkowej, a przewinęła się ich w ciągu tylu lat niemało, nie zabłysnęła z taką mocą, jak ELTON JOHN. Jego wizyta w Polsce była zgola niezwykła, nawet sensacyjna. Mistrz przybył do nas z Czechosłowacji dwoma samolotami odrzutowymi, dwoma autobusami-hotelami dla ekipy i pięcioma potężnymi ciężarówkami, wiozącymi aż 44 tony aparatury. Sprawdziła się ona na koncertach w Katowicach, Warszawie i Gdańsku wybornie.

Pseudonim sławnego dziś gwiazdora (naprawdę nazywa się Reginald Kenneth Dwight) usłyszeli sympatycy muzyki rockowej w 1969 roku, choć śpiewał znacznie wcześniej z grupą soulową Bluesology. Wtedy to firma DJM Records wydała album „Empty Sky”, przygotowany starannie przez nową spółkę autorską Elton John-Bernie Taupin. I chociaż płyta przeszła niezauważona, twórcy nie stracili nadziei na sukces. Przyszedł on nadszpodziewanie szybko. Drugi krążek „Elton John”, zawierający takie hity, jak „Your Song”, „Take me to the Pilot”, „Border Song”, otworzył autorom drogę do sławy po obu stronach Atlantyku. Ogromne powodzenie albumu w Stanach Zjednoczonych (wcześniej niż w Anglii) skłoniło wykonawcę do dłuższego wyjazdu za Ocean. Po serii znakomicie przyjętych koncertów mógł powrócić do Londynu w głorii sławy. Już wtedy (jesień 1970 rok) mówiło się o nim jako o nowej gwiazdzie muzyki pop. Ale prawdziwa kariera była dopiero przed nim. Kolejne piosenki Eltona bardzo szybko trafiały na listy bestsellerów. Nic dziwnego, ostre partie fortepianu, wsparte motoryczną sekcją i charakterystycznym głosem wokalisty, wniosły świeży powiew do zorientowanej wtedy na hard rock muzyki.

Elton John był człowiekiem wszechstronnym. Śpiewał nastrojowe ballady, muzykę country, słodkie przeboje pop, disco i żywiołowe rock and rolle. Te ostatnie zapewniły mu światowy rozgłos. Poeta Bernie Taupin nie pozostawał w tyle i do „markowych” szlagierów proponował oryginalne teksty, odbiegające zasadniczo od miłosnego standardu. Toteż w piosenkach Johna znalazło się miejsce dla nieszczęśliwych strażników, terrorystów, gangsterów, zgasyłych gwiazd kina, bohaterów seriali telewizyjnych, zagubionych w dorosłym życiu dziewcząt z marginesu, a nawet prostytutki... świadczącej usługi paniom. Przy realizacji studyjnej płyt korzystał wokalista z niezwykle bogatego instrumentarium, nie wyłączając orkiestry symfonicznej. Pozwalało mu to osiągać stale oryginalne brzmienie, korespondujące z szokującą metaforyką wierszy Taupina. Oczywiście nie wszystkie płyty Eltona przyjmowane były z entuzjazmem, ba, niektóre spotykały się wręcz z druzgocącą krytyką. Niemniej albumy „Chonky Chateau” (1972), „Don't Shoot Me, I'm Only the Piano Player” (1973), „Goodbye Yellow Brick Road” (1973), „Blue Movies” (1976), „The Fox” (1981) stanowią przykład klasycznych perełek muzyki rockowej, odtwarzanych z przyjemnością po wielu latach.

Mimo okresowych wahnięć inwencji pozostał Elton artystą poszukującym, otwartym na nowinki i co ważne — szalenie atrakcyjnym. Utrzymaniu mitu ekscentrycznego gwiazdora służyć miały przedziwne pomysły, ujawniane zwykle podczas wielkich mitingów koncertowych. Przedstawiał się w nich jako prezydent cudacznych strojów i zadziwiających okularów, cyrkowy clown w piętrowych butach, skaczący po klawiaturze pianisty lub aranżer barwnego widowiska z superluminacją i 400 białymi gołębiami wypuszczanymi z czterech fortepianów. Te i inne „drobiazgi”, podsuwane skwapliwie wyczułonej na sensacje prasie, powodowały, że piosenki Eltona Johna nie miały kłopotów z trafieniem na wysokie pozycje list przebojów. Nic więc dziwnego, że już w połowie



Fot. Leopold Dzikowski

lat siedemdziesiątych był jednym z najpopularniejszych i najbardziej majątnych wykonawców brytyjskich. Pieniądze zdobyte na estradzie ulokował rozsądnie w wytwórni płytowej Rocker Records, promującej wydawnictwa różnych solistów i zespołów, nie tylko swego bossa.

Zdawało się, że z chwilą erupcji punk rocka, a na jego podwalinach „new wave”, popularność Eltona Johna, uważanego za jednego z dinosaurów, zgaśnie zupełnie. Talent, pracowitość i wszechstronność wokalisty utrzymały jednak skutecznie jego powodzenie. Ostatnie tournée europejskie, pokazujące Eltona jako pomysłodawcę showmana, wybornego pianistę i śpiewaka, przekonało wiele tysięcy melomanów o znakomitej formie autora „Crocodile Rock”. Nie ma wątpliwości, iż jest to artysta światowego formatu, który długo jeszcze nie ustąpi z zajmowanej pozycji czołowego odwołującego ambitnej piosenki. W możliwości odwiedzenia Polski przez sławnego rockmana mało kto wierzył do końca. A jednak nadzieje i wysiłki ludzi z „Pagartu” spełniły się.

W piątek 27 kwietnia pada śnieg i deszcz. Stolica kuli się z zimna. Tuż po godzinie 19 pierwsze grupki zmarzniętych fanów gromadzą się na stopniach Pałacu Kultury i Nauki. Uśmiechnięci, dobrze zbudowani bramkarze zza podwójnych szyb pokazują na migi, że już za kwadrans jednym i drugim będzie ciepło i rockowo. Z każdą chwilą przybywa ludzi. Nikt jednak nie napiera na drzwi. Kulturalnie, w atmosferze oczekiwania na „coś wielkiego”, mijają kolejne minuty. Tu i ówdzie pojawiają się młodzi kolekcjonerzy (?) płyt. Zachęcają do kupna krążków wielkiego Eltona. Ceny różne. Za ostatnie wydawnictwo „Too Low For Zero” żądają „tylko” 6 tys. złotych. Tanie jak barszcz. Mieć płytę człowieka-legendy, klasyka brytyjskiego rocka i to w momencie, kiedy on sam nisko kłania się ze sceny, to dużo. Sala wypełnia się powoli, ale szczerze. Są muzycy z popularnych zespołów rockowych, jest sporo redaktorów z radiowej „Trójki”. Garnitury, długie suknie, lornetki, ale także długie i punkowe fryzury. Przybyli ludzie z branży estradowej i fanatycy rocka, goście z NRD i Węgier, bardzo bogaci (bilety w cenie 800—1500 złotych) i bardzo spragnieni muzyki z bogatej kolekcji ponad dwudziestu płyt długogrających artysty.

Wszystkim rzucają się w oczy wspaniałe konsolki. Jedna do stymulacji dźwięku, druga do świetlnej oprawy całego widowiska. Tu i teraz są wszyscy, którzy obcowanie z piękną muzyką zaplanowali sobie dużo wcześniej, którzy użyli nie lada zabiegów i starań, by znaleźć się wśród 3-tysięcznej eltonowskiej widowni.

Koncert rozpoczyna się punktualnie i kończy 40-minutowymi bisami. W sumie 2 godziny 40

minut frajdy dla uszu i oczu. Jest ciemno. Dźwięki „Funeral For A Friend” narastają stopniowo. Kiedy kompozycja osiąga swój szczytowy przełom, cała feeria świateł wita muzyków. On w czerwonym fraku i białym kapeluszu. Oni luźno, ale ze smakiem, nie jacyś tam oberwańcy. Biały fortepian i „Rocket Man”, tęcza świateł i „Daniel”, tylko błękit i czerwień dla „Candle In the Wind”. Sala reaguje żywiołowo na pierwsze takt. Jeden szlagier przechodzi w drugi. Płyta „Goodbye Yellow Brick Road” to klasyka również dla uszu polskich fanów. Ale są i nagrania nowe. „Blue Eyes”, „Too Low For Zero”, „I'm Still Standing”. 24 tytuły ułożone logicznie, sprawujące wrażenie od początku do końca przemyślanej całości. Całości wielkiej sztuki.

Elton John jest liryczny i zwirowany. Wzrusza i bawi. Grepsy z rucaniem stołka czy biegiem wokół i pod fortepianem każą się uśmiechnąć, ale przecież nie denerwują. Jest odrobina kabaretu, ale nie ma cyrku, z jakiego Elton słynął przed laty. Jest radość, lecz bez pustego rechotania. Z estrady płynie muzyka, która bawi, zmusza do oklaskiwania wspaniałego muzyka, ale i zamyślenia. Cudowna czystość brzmienia, prawdziwe stereo i więcej niż prawdziwe, bo fantastyczne, wręcz zadziwiające oświetlenie. Takiego show dawno nie pokazywano w Sali Kongresowej. Artysty dają z siebie wszystko. Nie ma gestów znużenia czy lekceważenia. Każda kompozycja zagrana jest z wielką starannością, zależnie od charakteru utworu w sposób mniej lub bardziej rockowy. Gdy wiązanka rock and rolli rozgrzewa salę, gdy publiczność wstaje z miejsc, Elton John proponuje „Pinball Wizard”. Ci, którym dane było oglądać słynny film „Tommy”, mają okazję porównać obie wersje. Ta dzisiejsza wydaje się być dużo lepsza.

Trudno opisać wszystkie odczucia, wrażenia, emocje. Jest ich wiele. „Love Lies Bleeding” to final tego wspaniałego koncertu. Biały frak, korona świateł stara się zamknąć Brytyjczyka. Ale czy taką muzykę można w ogóle okleić? Czy istnieją jakieś ramy czasowe lub kulturowe dla rzeczy prawdziwie wielkich? Trzykrotnie powtarzane bisy. Zapalają się płomyki zapalek. Zapalają się setki reflektorów. Artysta w zgjętej pozie dziękuje za przyjęcie, za wspólne słuchanie jego muzyki. Widownia z żalem opuszcza Salę Kongresową. „Zaraz, zaraz — pyta jeden z naszych znajomych — Stevie Wonder będzie tu w maju czy w czerwcu? Zapowiadają się nie mniejsze emocje. Dla mnie dwa bilety, tylko nie zapomnijcie”. Geniusz odszedł, czekamy na następnego. Takie jest życie. Rockowe życie. Słyszac jeszcze w uszach eltonowską muzykę, schodzimy po stopniach jak pijani. Co za wspaniałe przeżycie.

Istvan Grabowski
Artur Borkowski

Kajet literacki

AKADEMIA CIOCI KLOCI

W KAZDYM szanującym się piśmie kulturalno-społecznym znajdujemy rubrykę porad literackich, choć nikt publicznie nie poucza młodych marzycy muzyków. Zastanówmy się nad tą sprawą.

Jako lojalny współpracownik, z góry chciałbym zaznaczyć, że przykłady z życia nie odnoszą się do „Kamenu”, gdzie zresztą ostatnio rubrykę tę prowadzi entuzjasta,

dysponujący taką ojcowską dobroduszością, że wygiada wręcz na safordule, choć safordula nie jest. Ale to druga strona tego samego medalu.

A oto kilka przykładów z życia wziętych. Sam w dzieciństwie z rubryką tą miałem same utrapienia. Jako piętnastoletni wyrostek wysłałem kilka wierszy do pewnej redakcji. Poinformowano mnie natychmiast, że jeden wiersz jest niezły i poproszono o odpis tego utworu. Widocznie chodziło o to, żeby go poprawić. Akurat ten wiersz adreśowałem się zawieruszył w uczniowskich szparagalach. Szukałem go dzień po dniu z wywiezionym językiem, wreszcie po jakimś czasie

znalazłem i wysłałem z adnotacją, że przekazuję wiersz, o który proszono. Po kilku tygodniach w tej cholerniej rubryce wydrukowano, że tak się spraw nie zafawli, nie wleśka się utworów na siłę. Wzięto mnie za kombinatora, który wprawia poważnemu redaktorowi jakieś hocki kloeki. Kolejny razczy pism literackich nie czytał, ale do tej wzmianki — o dziwo — dotarł. Natychmiast zyskałem sławę i poety. I hochsztapiera zarazem. Na sławie hochsztapiera mi nie zależało, ale co robić — widocznie na tym polegało ryzyko zawodowe.

Po paru latach wysłałem nowe wiersze. W gazecie wydrukowano, że wiersz „Miasto II” jest niezły i poinformowano mnie, że oczekuje się moich kolejnych utworów. Po roku identycznie napisano o poemacie „Miasto III”. W ten sposób mógłbym dojechać do nie wiadomo jakiej cyfry i nie zatawił niczego. Dopiero po dziesięciu latach, gdy wydałem parę książek redaktor, spotkany na zjeździe literackim, wniawił mi, że mój poemat „Miasto III” był przygotowywany do druku. Pokazywał mi nawet poprawki napisane na starszemu maszynopisie. Czy czasami on teraz nie był kombinatorem?

O sprawie „porad literackich” zamierzam już napisać kilka lat temu, gdy pewnie za-

stążone pismo co kilka miesięcy wymieniało się sadystrycznie z tekstów nadsyłanych przez pewną panią, którą znałem, bo dotarła i do mnie. Była to kobieta chora, mająca z sobą liczne kuracje w szpitalu psychiatrycznym. Zrezygnowałem jednak wtedy z polemiki, bo musiałbym naruszyć tajemnicę lekarską i rozgłosić wieść o jej chorobie.

Wreszcie nie wytrzymałem, gdy obraźliwe i protekcjonalnie zarazem potraktowano moją przyjaciółkę, z którym od lat koresponduje. Laureat ważnych konkursów, autor książki zyczeniwej przyjętej przez krytykę, autor drugiej książki poehwalonej i omówionej przez samego Bereze w felietonie „Czytane w maszynopisie” — został nagle potraktowany jak raczkujący w prozie gołwas. Ciocia Kłocia nie szczędziła mu tuzinkowych rad, uczyła go abecadła i podstaw kompozycji, to znaczy pisania wstępu, rozwinięcia i zakończenia. Biedna Ciocia Kłocia, wydaje się jej, że trafiła na jeszcze jedno złamane serce.

Kto zasługuje na publikację, niech trafia na łamy prasowe — kto natomiast nie zasługuje, tego żadna Ciocia Kłocia niczego nie nauczy.

Janusz Olezak

Racławice legenda i fakty

W KWIETNIU minęło 190 lat od bitwy pod Racławicami, która w polskiej historiografii oraz narodowej świadomości zajęła miejsce szczególne a zwycięskiego Kościuszkę okryła sławą i dała mu trwałe miejsce wśród najwybitniejszych Polaków Racławicka wiktoria, ostatnie zwycięstwo wojskowe w dziejach dawnej Rzeczypospolitej z czasem obrosła legendą, stając się m.in. natchnieniem dla literatów i malarzy. Jedni, kierując się zakodowanymi w narodowej świadomości przesłankami emocjonalnego patriotyzmu, gloryfikowali bitwę racławicką ponad miarę, inni, na falach odbrązowienia naszych dziejów, w sposób skrajny deprecjonowali jej znaczenie. Dopiero najnowsza historiografia, sięgnawszy do nie uwzględnianych uprzednio źródeł zdobyła się na miarę obiektywną ocenę Racławic oraz wszechstronną interpretację związaną z zwycięstwem legendy. W tym nurcie tkwi, wydana nakładem WK SD w Lublinie, książka „Kościusko pod Racławicami”, autorstwa znanych popularyzatorów dziejów naszej przeszłości: Wiesława Śladkowskiego, Adama Andrzeja Witusika i Tadeusza Adamka. Lubelscy naukowcy po raz kolejny dowiedli, że o przeszłości można pisać przystępnie, a przy tym rzetelnie, bez uproszczeń, z należytych wykorzystaniem warsztatu historyka.

Wiesław Śladkowski nakreślił historię i legendę racławickiej bitwy, która z wojskowego punktu widzenia była zaledwie potyczką kilkudziesięciu oddziałów (Kościusko w jednym ze swych listów określił ją jako utarczkę). I jakkolwiek nie miała ona większego znaczenia militarnego, moralnie liczyła się bardzo. Wśród ówczesnych Polaków budziła wiarę w możliwość pokonania zaborców w walce o wolność. Bezpośrednim zaś następstwem Racławic było rozszerzenie się powstania. Insurekcja warszawska, wyzwolenie się Wilna, Racławicka wiktoria, w której decydujące uderzenie zadali kosynierzy, potwierdziła ogromną rolę uzbrojonego ludu w walce narodowo-wyzwoleńczej, czego orodownikiem od samego początku był naczelnik powstania. Rozważania o bitwie kończy Śladkowski bardzo interesującym szkicem o legendzie kościuszkowskiej, która, szczególnie bliska narodowej polskiemu, towarzyszyła nam w „wybijaniu się na niepodległość”. Wyjątkowo miejsce w niej przypadło racławickiej lesie — symbolowi budzenia narodowego ducha.

Pogłębieniem wiedzy o racławickiej wiktoryi są zawarte w książce artykuły A. A. Witusika poświęcone głównym bohaterom bitwy a to zwycięskiemu wodzowi, a także zdobywcy nieprzyjacielskiej armaty.

Tadeusz Kościusko — wychowanek Szkoły Rycerskiej, bohater walk o niepodległość Stanów Zjednoczonych, obdarzony honorowym obywatelstwem

rewolucyjnej Francji — przedstawiony został jako ostatni obrońca upadającej Ojczyzny oraz orodownik spraw uciesmięzzonego ludu. 7 maja br. minęła 190 rocznica wydania przez „Uniwersał Polaniecki”, nadającego chłopom wolność osobistą oraz regulującego ich feudalne powinności. Bohater Witusikowski szkicu nie jest bynajmniej postacią monumentalną, ukształtowaną wyłącznie przez wielkie czyny, których dokonał, i tradycję, ale jest żywym człowiekiem, znającym dobrze wojenne rzemiosło, oddanym narodowej sprawie, a zarazem... kochliwym, mającym ludzkie słabości. Jest to Kościusko, którego naród pochował wśród najpierwszych swych synów w wawelskiej katedrze, który swój amerykański majątek przeznaczył na użyczenie doli murzyńskiej, ale któremu współcześni odmawiali ręki swych posażnych córek.

I wreszcie Wojciech Bartos, bo tak brzmi rzeczywiste nazwisko Wojciecha Głowackiego — chłopskiego bohatera spod Racławic, którego potomni wprowadzili w poczet polskich bohaterów narodowych. Współcześni, niestety obeszli się z nim niezbyt łaskawie. Podniesiona do stanu wolnego rodzina Bartosa, co stało się za sprawą jego bohaterskiego czynu wkrótce została zmuszona do poddańczej zależności. Dobrze, że o tych nieznanych faktach przypomniano z brutalnością wierną historycznej prawdzie.

Książkę kończy interesujący szkic Tadeusza Adamka, poświęcony wybitnemu dziełu polskiego malarstwa historycznego „Panoramie Racławickiej”, która eksponowana będzie we Wrocławiu. Artykuł ten daje okazję do zapoznania się z treścią dzieła J. Styki i W. Kossaka, pracę nad obrazem oraz jego dziejami po dzień dzisiejszy (w tym sporo mało znanych szczegółów).

Publikacja „Kościusko pod Racławicami” spełnia ważną rolę w edukacji historycznej społeczeństwa. Odbrązowiając znane fakty z przeszłości, bynajmniej nie deprecjonuje ich, a ukazuje w rzeczywistych wymiarach. Ustosunkowuje się przy tym do narosłych wokół Racławic mitów i legend, które są wciąż żywe w naszej świadomości. Jej dużym walorem jest też starannie dobrana ilustracja, w czym wykazano wiele inwencji. Część barwnych reprodukcji przedstawia najważniejsze sceny z „Panoramy Racławickiej”, która nie jest powszechnie znana, zwłaszcza wśród młodego pokolenia.

SWW

Tadeusz Adamek, Wiesław Śladkowski, Adam A. Witusik: Kościusko pod Racławicami, WK SD, Lublin 1984.

Krzyżówka nr 12 Szyfrogram literacki

	1	2	3	4	5	6	7	8	9	10	11	12	13	14
15	16	17	18	19	20	21	22	23	24	25	26	27	28	29
30	31	32	33	34	35	36	37	38	39	40	41	42	43	44
46	47	48	49	50	51	52	53	54	55	56	57	58	59	
60	61	62	63	64	65	66	67	68	69	70	71	72	73	74
75	76	77	78	79	80	81	82	83	84	85	86	87	88	
89	90	91	92	93	94	95	96	97	98	99	100	101	102	103
105	106	107	108	109	110	111	112	113	114	115	116	117	118	119
120	121	122	123	124	125	126	127	128	129	130	131	132	133	
134	135	136	137	138	139	140	141	142	143	144	145	146	147	148
149	150	151	152	153	154	155	156	157	158	159	160	161	162	163
164	165	166	167	168	169	170	171	172	173	174	175	176		

- Do odgadnięcia wyrazów pomocniczych należy przenieść do diagramu na miejsce liczb odpowiadające im litery i odczytać fragment powieści polskiego pisarza którego imię i nazwisko oraz tytuł powieści utworza pierwsze litery 21 początkowych wyrazów pomocniczych. Czarne kratki w diagramie oznaczają koniec słowa, a podwójne zdania.
- Wyrazy pomocnicze
1. podziemny pod lodami np. perzu — 90.
 2. jeden papier — 66, 42, 195, 52, 127, 20.
 3. kontrola bagażu lub osobista — 76, 4, 60, 114, 152, 53, 24.
 4. owoc warzywny ze szklarni lub z grządki — 150, 26, 46, 81, 139, 145.
 5. sposób produkcji do kupienia — 101, 153, 93, 160, 69, 19, 58, 9.
 6. w uchu do równowagi — 170, 149, 110, 67, 130, 97, 165.
 7. większe biuro — 82, 135, 129, 54, 78.
 8. farsz — 32, 163, 23, 124, 112, 102, 174, 71, 23.
 9. dowódca małego statku — 176, 3, 173, 13, 38, 25.
 10. masa, waga — 147, 138, 14, 65, 74, 2.
 11. jezioro lub rzeka Czarna — 148, 146, 92, 21, 94, 119.
 12. rezerwy dowódcy — 16, 157, 164, 27, 30, 61.
 13. wpada do Prypeci poniżej Pińska — 28, 129, 161, 37, 168, 143, 125, 7.
 14. do stukania się i odkrywania — 8, 118, 175, 154, 156.
 15. przepływa przez Omsk — 11, 6, 134, 79, 49, 59.
 16. abdykował z miłości — 29, 33, 137, 77, 167, 151.

17. traktor — 55, 59, 152, 122, 76, 84, 58.
 18. z uszkiem i ostrzem — 13, 83, 113, 37.
 19. państwo skandynawskie — 117, 109, 0, 31, 42, 163, 99.
 20. tam pogciagiem o 19.10 — 131, 48, 86, 140.
 21. koromysło — 98, 116, 12, 89, 73, 17, 141.
 22. dużo drzew — 111, 136, 89.
 23. sienkiewiczowski instrument muzyczny — 96, 166, 172, 132, 171, 107.
 24. tosietowe lub 40 orania — 113, 126, 80, 123, 144.
 25. polska waluta — 106, 51, 91, 162, 89.
 26. tenisowa jednostka gry — 100, 121, 26.
 27. danie z mi — 40, 45, 120, 64, 182.
 28. dawna nazwa tarczy — 41, 33, 62, 10, 60, 34, 43.
 29. wielki deszcz — 87, 53, 85, 153, 133.
 30. literacki koł uskrzydiony — 1, 72, 29, 104, 159.
- Rozwiązanie można nadsyłać w ciągu 14 dni od daty ukazania się numeru pod adresem redakcji (skr. poczt. 231 30-950 Lublin). Wśród autorów prawidłowych rozwiązań rozlosujemy bonus książkowy za 300 zł.
- Rozwiązanie krzyżówki szyfrogramu nr 10
Czas idzie nieubłaganie, nieubłaganie gaciera się kryteria a równie nieubłaganie jest przeznaczenie pisarza: tworzyć. Czyli współzestępnicy. Czyli współodpowiadac za wierność swojemu czasowi.
Roman Bratny
„Pamiętnik moich książek”
- Nagrodę wylosował Marek Szczepański, ul. Czerwonych Kosynierów 83, Hotel Asystentka WSM, 81-236 Gdynia.

Poczta literacka

Janusz G. Lublin. Podobna mi się Pańskie spojrzenie na świat. Jest pogodnie, w chwilach dramatycznych, np. tych z 1981 roku, szuka Pan rozwiązań rozważnych i słusznych. Także wiersze osobiste rodzinne, tym się charakteryzują. To sprawka, iż pisanie, jak mi się wydaje, jest Panu potrzebne. Niestety nie jest ono tak dobre, aby można było wartości nazywać w kategoriach artystycznych — pozytywnych.

Zbigniew K. Chelm. Jest naturalnie, że w okresie młodzieńczych wrażeń uczuciowych część zakochanych sięgła do długopisu, by wyrazić przycięcia znane od wieków. Znalazłem w tych wierszach zapła tych nastro-

jów; nie doszukałem się jednak poezji. Zajął.

Cezary T. Lublin. Z rosnącym zainteresowaniem przeczytałem spory pakiet nadesłanych utworów. Proza zdaje się być uwikłana w naleciałości z literatury romantyzmu, a także zaciemniającego obraz i idee opowiadania mistycyzmu. Coś z tego pojawia się także w wierszach. W nich jednak przeszkadza mi zbyt wyraźna, jak na wiek autora, „przemadralość”. Przeffilozofowanie w literaturze także w poezji, nie służy nazwy dobrze czytelnikowi odbiorcy. Nie dlatego, że czytelnik może nie dorosł, ale przy czynny tkwia w tym i z innymi prawami rzadzi się nauka filozofia, a innymi dobra literatury. Wielka mądrość, idea filozoficzne przesłania powinny oczywiście być obecne w utworach, ale nie w tak widoczny sposób. Niech się Pan wyzbedzie, sprzecznego z wiekiem datowietnastu lat, orzeffilozofowania i zbyt czytelnego spadku po poprzednich epokach, a z obecnej mgły wyłonią się utwory bardziej klarowne i przybliżające do czytelnika.

Proponuję dalszy kontakt z naszą redakcją.

TJ



W Paryżu, po jednym z koncertów Ignacego Paderewskiego, urządzono bankiet z udziałem wybitnych osobistości. Pasterz Paderewski nie lubił alkoholu i tego wieczoru także prawie nie pił, jeden z francuskich polityków zwrócił się do niego z pytaniem:

— Pan, drogi mistrzu, nie nie pije? To dziwne, gdyż we Francji istnieje przysłowia: „Pijany jak Polak”.

Na to Paderewski odparł z subtelną ironią:

— Przysłowia kłamliw. W Polsce na przykład krąży przysłowie: „Grzeszny jak Francuz”.

★

Gdy we Francji wydano drukiem pamiętniki Talleyranda, w jednym z tygodników napisano o autorze: „Studił, potem zdradził trzech monarchów. Studił, potem zdradził Kościół. Studił, potem zdradził trzy razy Napoleona. Kochał, potem zdradził kobiety, ale trudno zliczyć ich liczbę”.

★

Mark Twain otrzymał z urzędu skarbowego formularz z prośbą o podanie rocznego przychodu pieniężnego ze swej pracy. Pisarz w związku z tym napisał: Nie mam żadnej pracy, pisanie to dla mnie przyjemność i zabawa, a pomysł, które mam, to dar Boga”.

Urząd skarbowy wtepił mu dwa podatki: jeden od zabawy, drugi od darowizny.

★

Latka do kolegi:
— Mogę ci się pochwalić, że ostatnio Herba moich myślników podwoiła się!
— A co, ożenił się?

Wyszperał: Ryszard Dunia

Założyciele: Kazimierz Andrzej Jaworski i Zenon Waśniewski.

Redaguje zespół: Marek Adam Jaworski (redaktor naczelny), Piotr Kopcewski (z-ca redaktora naczelnego), Zygmunt Mańkowski, Maciej Podgórecki (sekretarz redakcji) członkowie Kolegium Redakcyjnego oraz Anna Bocian, Mirosław Dorecki, Tadeusz Jasiński (kierownik działu literackiego), Ireneusz J. Kamiński (kierownik działu subskrypcyjnego), Henryk Pajak, Waldemar Stępień (fotoreporter), Redaktor techniczny — Ewa Dybek, korektor — Barbara Caban.

Redakcja nie tworzy materiałów nie zamówionych, zastrzega sobie skróty w sprawach literackich przyjmując interesantów kierownik działu w piątek w godz. 10-18.

Wydawca: Bohotnicka Spółdzielnia Wydawnicza RSW „Prasa-Książka-Ruch” Lubelskie Wydawnictwo Prasowe w Lublinie, ul. Jasná 4, tel. 235-32.

Druk: Lubelskie Zakłady Graficzne im. PKWN w Lublinie, ul. Unicka 4.

Adres redakcji: 20-018 Lublin, ul. Skłodowskiej 17E.

Telefony: sekretariat, redakcja naczelną, z-ca redaktora naczelnego 235-23, sekretarz redakcji 235-23, dział publicystyki i literacki 235-15.

Korespondencje rzytkie prosimy kierować pod adresem 20-030 Lublin, skrytka pocztowa 231, północne i ekspresowe — pod adresem redakcji.

PE ISSN 037-7184. Na indeksu 2425L.

Zam. 121384, 11.05.84 z. 1-4.

POBÓR

Jerzy Grzymkowski

WZIELI nasz jak swoich... A tak naprawdę to nawet i nie za bardzo brali. Same poszlim. Jak te owieczki boże. Na godzinie ósme zero zero. Tak stoją napisane w prachadnoję: na godzinie ósme zero zero.

Jeden to przypajacował już na wpół do ósmej. Tak baranek cacany!

Walizeczka w łapie kamasz wywecowany, spodzień w kant. Jak do bierzmowania! Błady Nikol! Tak mu się skubanemu, spieszyło, żeby ten dług ojczyźnie spłacić!

A z tem długiem to tyż jakiś pic na wodę. Jaki ja jak pragne zdrowia. dług żem zaciągał u ukochanej ojczyzny? Owszem. miałem trochę długów, jakżem szed te zaszczytne służbe odwalac, ale całkiem prewatnych. Od ukochanej ojczyzny nie!

Może mój stary miał jakieś rachunki, bo przed wojną krugom zaliczkie w magistracie brał jako bezrobotny. Może on? Ale ja?

Jak sięgnę pamięcią to z mojej famuly nikt, no oprócz starego, żadnego długu u ojczyzny nie zaciągał.

Dziadek od szczeniaka mieszkiał u nasz na dzielnicy na Targówku sie znaczy. w starej budzie. gdzie już nikt nie chciał mieszkac. Jak mu się potomstwa namnożyło to sie to wszystko wzięło i rozlazło po dzielnicy. Gdzie nie spojrzeć, Walaszcyki! Bo nazwisko nosiem Walaszcyki! Nie ma u nasz takiego, żeby o Walaszcykach coś nie słyszał! A i w mnieście, znaczy sie w Warszawie, też.

Jeden mój stryj był za zduna. Jakie piece montował. rań gościł u różnych takich dęciaków, dochtorów adwokatów... Znali go wszystkie ludzie wkoło Marcel mu było na imnie. Za Niemca jeszcze wykorkował. Od bimbru chiba. Bo czasami do bimbru takie różne świństwa dokładali. Karbid na ten przykład. Żeb było więcej gradusów. A stryjek widać miał organizm delikatny i nie wytrzymał.

A reszta stryjów żyje. Dobrze sie to wszystko trzyma.

We wigilie mojego odejścia do zaszczytnej służby przyszli wszystkie do nasz jak ludzie. każdy jeden z flakonem. Nawet dziadek był. Slabosilny już starszy człowiek. Po drugiej fiaszce zaczął wulgarnie soldackie piosenki śpiewac. Znaczy ruskie. Bo nasz dziadek jeszcze u batiuszki służył. Po trzeciej fiaszce oczy mu sie zamkli. Zdjelim mu kamasze i rzucilim na kojko. Jak rano szłem w sprawie tego długu, to jeszcze oczów nie otworzył. Slaby już.

A my gazowalim do rana...

Wszystkie stryje i wuje pouczali mie, co i jak. Tak jakbym swoje kiepeły nie posiadał. A rób, Beniek tak a rób tak... Tego sie wystrzegaj, tamtemu sie nie narażaj. Beniek... Bo mie Beniek na imnie. Znaczy sie Benedykt. Tak mie dracznie opaskudzili. Bo księzka takiego mnielim na Ziemowita u Zmartwychwstania Pańskiego. Jak przyszli do niego jakie tak zwane porządne ludzie, to jem dzieciaka krzcil jak sie należy według życzenia klienta: Władysław. Stanisław albo jaki inшы Tadeusz czy Kazimierz. Ale jak przyszli rodzice z tak zwanych niższych skwer to jem zawsze coś takiego dla bachora wymyślal, że ich mgliło bez cale krzciny. A na nasze rodzinkie miał specjalne oko. Paskudzil nasz jak nieboskie stworzenia: Onufry. Pankracy. jakiś Bonifacy. A jak mu sie znouzył trafila dziewczyna. to jej fundował Kordula. albo Balbina jaka. Sam siostrę posiadam. co sie nazywa Kunegunda. Kuńka na nią mówiem. Ale to jakoś tak dracznie: Kuńka! A jak nam co podpadła. to wolalim Kundal!

A już jak mu sie trafił jaki dzieciak z lewego kursu to mu takie imnie przyfundzilil, że tylko sie powiesić!

U nasz mieszkala bez ściane taka jedna niejaka Maryśka Gładkówna. Gdzieś tam zaskoczyła na boku. potem jej chłopaka do rajchu zwinieli na roboty i kamień woda! Pewnie go gdzieś bomba trzasła. A ta jak na złość, bliźniaki! To ich nasz proboszcz opaskudzil. Cyryl i Metody! Za Niemca to jeszcze nic. ale po wyzwoleniu to mnielim z nimi ubaw po pachil! Skonać można! Cyryl i Metody. jak rany! Bo bliźniakom zawsze fundował takie dubeltowe imnienia. Dajmy na to Kosma i Damian. Gierwazy i Protazy. Tadeusz i Juda. A tem sirotom Cyryla i Metodęgo zalatwil.

Ale ja o czym innym. O tych imnieniach to sie tylko tak jakoś zgadało. Ja w sprawie tego długu. Dług nie dług. ale co było robić! Poszłem! Wszystkie Walaszcyki jak jeden we wojsku służyli! Ja mam być gorszy? We łbie mie trzeszczalo po uroczystości, we środku mie ssalo. ale o godzinie ósmej zero zero żem sie zameldował na Francuskiej Rku Warszawa — Praga jeden!

Majdanu żem żadnego nie brał bo i po co? Na żarcie żem patrzeć nie mógł a reszta dadza we wojsku. Nikt mie też nie odprowadzał... Kryśka to nawet chciała. Ale gdzie sie bede w takiej poważnej chwili z Kryśką po mnieście szwendal?

Zresztą ona też oddech miała trochę nieświeży. Cate noc z namy przepisowo przyprawiała. Jak rekrut. No to poszłem sam. Rodzinka pewnie jeszcze przyprawiała na moje konto.

Na Francuskiej kartkie mie zabrali i zakitrali na świetlice. Siadłem se pod ścianą i siedze. Godzine, dwie, trzy... Mgli mie jak jasna cholera, pic sie mie chce jak pierun. ale co sie rusze spod tej ściany, to taki jeden, co stojal przy drzwiach, zara na mnie z pyskiem:

— Nie rozlazić sie!

No to sie nie rozlazi. Siedze. Patrze se na chłopaków, co ich kitują do nasz, na te, znaczy sie, świetlice. Różne chłopaki przychodzili. Było trochę równych chłopaków. Od razu widać. Ale flimonów też sporo. Siedzi taki. leb między nogi opuścił i sie martwi na zapas.

— Czego sie, koleś, martwisz? — mówie tak do jednego takiego dęciaka. — Przed czasem sie, koleś, nie martw. Zobaczem, co i jak, i dopiero potem sie bedziem martwić.

A ten jak sie na mie popatrzy... Już nie powiem jak i do mie:

— Kolega jest pijany!

— Ech ty, minogo w żółtko szarpana — ja do niego. — Te... kolega za dychel! A cóż ty dla mie za kolega, frajerze dęty! Kolega sie znalazł! Ja pijany? Tyś jeszcze, miętusie, nie widział chiba z bliska pijanego, grzechotniku garwoliński!



Rys. Józef Tarłowski

Jeszcze bym mu tam coś powiedział do sluchu, ale sie wtrącił ten dany fajfus, co stojal pod drzwiami.

— Uspokójcie sie, poborowy! — on do mie.

To sie wzielem i uspokoilem. Co bede z mundurowym zaczynal! Tak mie rodzinka pouczyła. A najwięcej to stryj Tymek, znaczy Tymoteusz, któren przed samą wojną w ulanach zaniemieniskich służył, czwarty pułk. Wilno. On jeszcze najlepiej wojsko pamnielal. A z niem też osobna draka była. Chlopak jak trza, z Targówka. do żadnej szkapy sie bez cale życie nie dotknął. najbliżej widzial konia bez pargan u derożkarza spod dziesiątego, a na komisji go do kawalerii! Skonać można ze śmiechu! Nie? On przecieź końskiego pyska od ogona nie odróżnił! Ale wyszedł jakoś z tego. Nawet sie za starszego ulana zostal. To on mie najwięcej pouczal. Co i jak.

— Ty, Beniek — tokuje mie. — Ty sie, brachu, nigdy nie pchaj do przodu i z tyłu sie nie zostawaj. Bo tych na przodzie leja w morde, a tych z tyłu kopia w dupe. Nie zadzieraj z nikim, nie pyskuj, a swoje rób!

No to jak ten przy drzwiach zaczyna na mie warczyć, to ja w ką i siedze. Siedzielim tak do wieczora. Myślalem, że sie przekreće. Tak mie ssalo. Jednych brali, drugich przyprowadzali. Mlyn jak cholera. Dopiero wieczorem wygruzili nasz na takie male podwórko. wyczytali razem z imnieniem ojcy. odezwałem sie, że jezdem ustawili nasz jako tako w czwórki i poszlim na Wschodni. Myślalem że już pojedziem. A tu wala! Jeszcze do północy kiblowalim!

Przyszeli do mnie taki jeden chłopak z dziel-

nicy. Heniek sie nazywał. Na innej dzielnicy krzczo-ny. Dalby mu nasz proboszcz imnie, że z rozumem by sie polapał. Morda taka, że najpniej na Hipolita pasowal! Nawet miał flakon za parganem. ale nie było jak wypić. Ludzi wszędzie do nagłej krwi. I wojskowych sporo sie kręci. To posiedzielim, pogadalam. Jego na drugi rok ta sama polka czekala. Rozgladal sie ciekawie dokola...

Zresztu, co tu opowiadać? Nie powiem, żeby sie mie ta wojskowa służba specjalnie spodobowała. Tego nie wolno, tamtego nie wolno, tylko przez przerwy: siadać, nie rozlazić sie, nie gadać. Ale co miałem robić? Wyskrobek żaden nie jezdem. Chlop jak wszystkie Walaszcyki. A przecieź wszystkie Walaszcyki we wojsku słuzyli. W jakim komu popadlo. Na ten przykład dziadek był carskim soldatem, a mój stary służył w sanacyjnym, tagże samo wszystkie stryjowie. Ja pierwszy z naszej famuly żem szed do demokratycznego. Ale wojsko jest wojsko! Jak to powiedział nam kiedyś pan Stanisław na naszej dzielnicy:

— Nie stać nasz, chłopaki, żebym se zafundowal cudzoziemskie legie złożone z negrów. Same musimy we wojsku zaprztylac!

Mniat racje.

Ale co to znaczy prawdziwe wojsko, dowiedzielim sie dopiero potem. Już w koszarach. To, co było w Rku i na Wschodniem, to było jeszcze mniej niż ochronka dla małoletnich pętaków.

Najpierw nasz spisywali.

Z pięć razy. Dwa razy sie mie pytali. Ile wzrostu posiadam. A skąd ja mam wiedziec? Nie powiem, mierzyli mie na wojskowej komisji, ale czy mie coś powiedzieli? Ile mam wzrostu? Nawet mie nie powiedzieli do jakiej formacji sie nadaje. Tylko: zdolny!

Wgonili nasz na tej wojskowej komisji chiba pieciu, wszystko na waleta i ganiłi nasz od stolika do stolika! Tu nogie podnieś, tam dupe wypnij, ucho zasłoń, aaa powiedz. Potem trzask! Na wagie, pod mniarkie i won! Zdolny do służby liniowej!

To skąd mam wiedziec, ile wzrostu posiadam? Sie na mie popatrzyli tak jakoś. Chiba ze trzech

ich siedzielo i jeden taki pisarz mówi:

— Chiba bedzie miał z metr osiemdziesiąt...

A drugi do mie:

— Nie udawajcie glupiego, strzelec!

Zaczalem sie tłumaczyc, że ja faktycznie nie

wiem, jaki jezdem na długości, ale ten do mie:

— Nie róbcie mi tu jarmarku!

To zamklem jadackie. Pouczali mie przecieź wszyscy i stryjowie, i ojciec rodzony, żebym we wojsku za bardzo nie gardlowal, bo mie wezna na muchie i wtedy gimzal!

Powiedzieli mie, że sie nadaje do drugiego plutonu. Co ja bede opowiadal...

Jak mie leb ostrzygli i w kazonny garnitur ubrali, to myslalem, że sie rozplacze nad swoim wygladem. A do plakania to ja przecieź taki miętki nie bylem. Jeszcze fafel bylem, a jak mie kto w ryj przypaskudzil, to mie nawet jedna lezka nie poleciala. Taki bylem twardziel. A tu mie sie lzy zebrałi pod powiekami. Jak Myszka Miki żem wygladal.

Furażerka mie spadła na same uszy. Bo globusa to ja znouzył takiego wielkiego nie mam, a dala mie te furażkie chiba sześćdziesiąty piąty numer. Za to portki miałem przykrótkie, a mundur przyclasy trochl. Trzeszczal mie pod pachami.

Nie dali nam sie długo zastanawiac nad swoim wygladem zewnętrznym. Popędzili nam kota z mety.

Co ja zresztu bede opowiadal...

Fragment przygotowywanej do druku powieści pt. „Kapral Walaszcyk”.